

KRESOWIAK GALICYJSKI



W NUMERZE:

- Ostatni Mazur
- Ulica Kościuszki w Lubaczowie
- Królewska wieś Krupiec
- Kronika policyjna

Indeks 334596

ISSN 1426-4773

MAGAZYN PUBLICYSTYCZNO-INFORMACYJNY POWIATU LUBACZOWSKIEGO

Nr 2 (207) www.kresowiakgalicyjski.pl

luty 2014

Cena 2,50zł (wtym 5% VAT)

Stan dróg problemem nr 1 dla gminy

Rozmowa z Stanisławem Zajacem przewodniczącym Rady Gminy w Starym Dzikowie.

Przez dziesięciolecia Gmina Stary Dzików uchodziła za najbogatszą w powiecie. Nazywano ją zagłębiem tytoniowym, buraczanym, mlecznym, Jaki jest jej stan dzisiaj?

Tak było. Każdy towar można było sprzedać zarobić, kształcić dzieci inwestować w sprzęt rolniczy i urządzenia, budować budynków gospodarczych i mieszkalnych a więc w poprawę

bazy produkcyjnej gospodarstwa i warunków życia. Po zmianie ustrojowej wiele gospodarstw szczególnie tych małych i średnich znalazło się w trudnej sytuacji z powodu braku możliwości zbytu swojej produkcji i huśtawki cen oferowanych przez różnych pośredników, często poniżej kosztów wytworzenia produktów. Spowodowało to zaniechanie przez wielu rolników uprawy zbóż ziemniaków, rzepaku, traw nasienne, chowu świń, krów mlecznych, opasów, owiec. Część z nich dzierżawi swoją ziemię sąsiadom, część zajmuje się mniej kapitałochłonną uprawą truskawek i malin. Pozostali produkują w zasadzie na samozaopatrzenie a jedynym przychodem są dopłaty unijne, które w II wojnę części konsumują dostawcy środków do produkcji rolnej. Zapewne mogłoby coś zmienić tworzenie grup producenckich czy spółdzielni. Jednak warunki ich prowadzenia i negatywne doświadczenia z członkostwa w grupie producentów tytoniu nie skłaniają do ich powstawania. Skutkiem braku jasnej i stabilnej polityki państwa wobec rolników jest wyludnianie się wsi, brak następców nawet w dużych gospodarstwach. Młodzi, nie widząc tu dla siebie perspektyw, wyjeżdżają nawet całymi rodzinami a starsi trwają, wiążąc jakoś koniec z końcem.

Mimo to przedsiębiorca z Łodzi który tu za-inwestował w budowę przetwórci i na dużą skalę założył plantacje aroni, porzeczki, malin i tym samym stwarza miejsca pracy, jak mówi ze strony władz samorządowych nie spotyka się z satysfakcjonującym wsparciem?

Nieoficjalnie wiem, że miał on pewne kłopoty z pozyskiwaniem potrzebnej dokumentacji dla swojej inwestycji. Wiadomo, przedłużająca się inwestycja to dodatkowe koszty a czasem poważne straty. Powiat Lubaczowski, Gmina Stary Dzików nie mają nawału spraw inwestycyjnych, przedsiębiorstwa raczej ulegały likwidacji, wydaje że nie ma powodów aby jakiegokolwiek sprawy dotyczące także innych interesantów ciągnęły się, urzędy zatrudniają bardzo liczną kadrę. Firma która po zakończeniu inwestycji zamierza zatrudniać w sezonie do 500 osób, kontraktować ziola,

owoce miękkie nie tylko w Gminie Stary Dzików, ale także w sąsiednich, powinna być w centrum zainteresowania starostwa powiatowego i gminy. Gospodarstwa ledwie wiążące koniec z końcem o których mówiłem wcześniej mają nadzieję i widzą swoją szansę w współpracy z tym przedsiębiorstwem, wzmocnioną szacunkiem do tego jak po gospodarsku prowadzona jest inwestycja i zagospodarowanie ziemi. Problemem do rozwiązania jest remont dróg gminnych

powiatowych i rolnych. Produkcja tego przedsiębiorstwa i nie tylko, bo także produkcja mleka a gmina ma tu duży potencjał jej dalszego rozwoju, zaczynające się rozwijać przetwórstwo drewna, transport drewna pozyskanego w lasach odbywa się niemal w stu procentach po drogach gminy, te wszystkie dziedziny wymagają dobrych dróg. Nasze drogi w ich obecnym stanie będą jednym z najsłabszych hamulec rozwoju gminy a ciągle wzrastający ruch pogarsza bezpieczeństwo. Dodam gmina w planach zagospodarowania przestrzennego województwa została zakwalifikowana jako teren intensywnie produkcyjny, jeden hektar takiej uprawy to około 40 ton przemieszczonej masy.

W mediach można się spotkać z gorzką opinią, że rola samorządów maleje. Część radnych bywa „kupionych” przez wójta, burmistrza czy starostę to stanowiskami to pracą dla kogoś z rodziny a nieliczni ambitni są osamotnieni i ich słuszne opinie, wnioski bywają ignorowane. Jak jest w waszej gminie.

Problem wydaje się powszechny. Zapewne występuje i u nas. Trudno jest czasem nie odnieść wrażenia że tak jest. Kiedy pada propozycja „jedynie słusznej” uchwały lub decyzji władzy wykonawczej, lub odwrotnie propozycja radnego naruszająca „święty spokój” władzy wykonawczej a radny lub radni uważają że w pierwszym przypadku propozycję należy natychmiast przyjąć a w drugim natychmiast odrzucić bez jakiegokolwiek dyskusji, choć dotyczy ważnych interesów mieszkańców to może być coś na rzeczy. Na szczęście w naszej gminie takie sytuacje zdarzają się rzadko. Moim zdaniem częściowo takie sytuacje można by wyeliminować wprowadzając dwukadencyjność dla władzy wykonawczej z wyboru i ewentualny kolejny start w wyborach po przerwie. Przyczyną tej choroby samorządu niewątpliwie jest duże bezrobocie szczególnie wśród młodzieży Wójt który w wielu gminach jest jedynym pracodawcą i zleceniodawcą, jeżeli ma takie skłonności, łatwo może podporządkować sobie radnych lub mieszkańców

cd. na str. 2

W POWIECIE LUBACZOWSKIM

Rabini z Nowego Jorku w Cieszanowie

W Cieszanowie 20 grudnia ub. r. odbyło się spotkanie władz miasta z przybyłymi z Nowego Jorku potomkami miejscowego cadyka Symchy Isachara Bera Halberstama — nowojorskimi rabinami Lejbisz Rubin, Jakow Symcha Rubin oraz Chaim Rubin. Tematem rozmów była renowacja synagogi w tym mieście. Przyjęta przez gminę w 1990 r. synagoga została w ostatnich latach wyremontowana — odbudowano strop i położono nowy dach. Burmistrz poinformował, że po wstawieniu drzwi, okien zostanie wykonana elewacja. Goście akceptują plan renowacji synagogi. Rabini chcą, aby podeszła prac z jak największą wiernością odtworzono fasadę budynku zgodnie z jej przedwojennym wyglądem oraz zachowano wszelkie możliwe oryginalne elementy architektoniczne i plastyczne wnętrza. Rabini oczekują, że w związku z przeznaczeniem synagogi na cele użyteczności publicznej, władze miasta otoczą żydowski cmentarz stałą opieką. W spotkaniu uczestniczył również także Krzysztof Bielawski — główny specjalista w Muzeum Historii Żydów Polskich i koordynator projektu Wirtualny Sztetl

wm

„Przygródek – wspólnota kultur”

Na terenie zespołu parkowo-zamkowego przy Muzeum Kresów w Lubaczowie pojawiła się zabytkowa wozownia plebańska, którą przeniesiono ze Starego Dzikowa. To pierwszy obiekt mającego tam powstać Parku Etnograficznego o nazwie: „Przygródek – wspólnota kultur”. W ramach zrealizowanych dotychczas prac przeniesiono już z terenu Lubaczowa i powiatu lubaczowskiego autentyczne zabytki budownictwa i architektury drewnianej. Na miejscu są już złożone i zabezpieczone kolejne obiekty zabudowy drewnianej z regionu. Są to m.in. budynki mieszkalne, gospodarcze, zabytkowe studnie czy kuźnia z Płazowa. Projekt „Przygródek – wspólnota kultur” ma powstać na rozległym terenie sąsiadującym z historycznym wzgórzem zamkowym w zespole parkowo-zamkowym. W nowożytnych źródłach rękopiśmiennych obszar ten nosił nazwę „Przygródek”, co oznacza

cd. na str. 2

W POWIECIE LUBACZOWSKIM

tyle co „podgródzie”. W przeszłości miejsce to, pełniąc rolę obronną, gospodarczą i kulturalną, zamieszkiwane było przez wieloetniczną społeczność. Stąd pomysł przywrócenia mu pierwotnych funkcji poprzez założenie na jego terenie Parku Etnograficznego. Jako całość Park Etnograficzny „Przygródek – wspólnota kultur” ma składać się z około 20 budynków drewnianych.

wm

Pożar domu w Lubaczowie

W Lubaczowie przy ulicy Kościuszki w nocy wybuchł pożar budynku mieszkalnego. W gaszeniu pożaru brały udział cztery ekipy straży pożarnej. Ogniem objęte było całe wnętrze budynku. Na szczęście jedyna lokatorka budynku 76 – letnia kobieta zdołała uciec przez okno. Jednakże doznała podtrucia poparzeń i trafiła do szpitala. Z relacji kobiety wynika, że obudził ją dym i trzaski palącego się drewna i postanowiła wydostać się na zewnątrz przez okno. Kobieta obudziła sąsiadów którzy zaalarmowali służby ratunkowe. Ze wstępnych ustaleń wynika, że najprawdopodobniejszą przyczyną pożaru było zwarcie instalacji elektrycznej wewnątrz budynku.

mw

Nie żyje 26-letni mieszkaniec Lisich Jam

Nie żyje 26-letni mieszkaniec Lisich Jam, który zaginął 18.01 w Obszy (pow. biłgorajski). Mężczyzna bawił się w sobotni wieczór w klubie SKR w Obszy, który opuścił po zakończeniu imprezy. Gdy po zabawie nie wrócił do domu, rodzina i znajomi rozpoczęli poszukiwania. W dwa dni później jego zwłoki znaleziono w jednym z okolicznych budynków. Z zapisu monitoringu klubu wynikało, że po zakończeniu zabawy chłopak wyszedł z lokalu. Nie miał na sobie kurtki i nie wiadomo dokąd się udał. Informacje te potwierdził właściciel klubu. - Na zapisie monitoringu widać, jak chłopak opuścił nasz klub tuż po zakończeniu sobotniej imprezy. Jakis czas później dyskotekę opuszczali także moi pracownicy, nikt z nich nie widział nikogo w okolicach lokalu. Ja, jako ostatni, wyjeżdżałem z klubu w kierunku Lubaczowa i także nikogo nie widziałem – mówi Michał Krupa, właściciel SKR Club w Obszy. Następnego dnia rodzina i znajomi rozpoczęli poszukiwania. 21 stycznia w jednym z opuszczonych budynków po byłej szkole, znaleziono ciało chłopaka. Wiele wskazuje na to, że przyczyną zgonu mogło być wychłodzenie organizmu. Szczegóły mają być znane po przeprowadzeniu sekcji zwłok. Sprawę bada Prokuratura Rejonowa w Biłgoraju.

elubaczow.com

VI Przegląd Zespołów Kołędniczych „HERODY 2014”

W niedzielę (26.01) w Miejskim Domu Kultury w Lubaczowie odbył się VI Przegląd Zespołów Kołędniczych „HERODY 2014”. W konkursie I nagrodę otrzymał zespół „Gwiazdki”, działający przy Szkole Podstawowej w Krowicy Samej. Zwycięska grupa otrzymała także nagrodę publiczności. Natomiast II miejsce zdobył Zespół Kołędniczy działający przy bibliotece i świetlicy w Opacie, zaś III nagrodę wywalczyła Grupa „Herody” ze Szkoły Podstawowej w Załużu. Wyróżnienie przypadło grupie działającej przy parafii św. Karola Boromeusza w Lubaczowie oraz Teatrykowi Żywego Słowa funkcjonującemu przy fali GBP w Załużu. Jury w składzie: Krystyna Czura, Edyta Świstowicz-Mazur i Grzegorz Górecki dokonując oceny zwracało uwagę na teksty i wykonanie pastorałek oraz kołęd, oryginalność i pomysłowość, stroje, rekwizyty i przebrania oraz zgodność przedstawienia z tradycją. Celem przeglądu było przede wszystkim popularyzowanie prezentacji zachowanej tradycji ludowej „herodów” ziemi lubaczowskiej, a także inspirowanie młodego pokolenia do kultywowania i rozwijania obyczajów.

www.lubaczow.pl

Przeproszenie

„Edward Drozda oświadcza, że w dniu 16 kwietnia 2013 r. podczas obrad Walnego Zgromadzenia Członków Spółdzielni Mieszkaniowej w Lubaczowie w wyniku błędu formalnego popełnionego przez Zarząd Spółdzielni przez niezgodne z przepisami skreślenie Pana Zdzisława Kosior z członkostwa w Spółdzielni podjął nieskuteczną próbę usunięcia Pana Zdzisława Kosior z sali obrad i wezwania Policji w celu jego usunięcia - za co przeprasza.”

Edward Drozda

„BAŚNIOWA KRAINA PODLASIA” W NAROLU

W dniach 18 i 19 stycznia w cerkwi na Krupcu w Narolu odbyły się „Narolskie Spotkania” nad którymi patronat medialny sprawowała również nasza redakcja. W pierwszym dniu w mroku wieczorowej pory, pod skorupą zamarzającego lodu w magicznym miejscu – dawnej cerkwi greckokatolickiej na Krupcu, została zainaugurowana niezwykle a zarazem zwykła wystawa fotografii Adama Falkowskiego po nazwę „Baśniowa Kraina Podlasia”. Wieczór „Narolskich Spotkań” nabrał smaku i magii poprzez niesamowite wprowadzenie, którym był spektakl taneczny w swojej choreografii oddający klimat Podlasia zobrażony pod nazwą „Czuczelo – leśne duchy” w wykonaniu animatorek z grupy tanecznej S - Flores Gminnego Ośrodka Kultury w Narolu. Choreografia i aranżacja spektaklu została przygotowana i przedstawiona przez instruktora tańca Natalię Kowalską.



Wystawa poprzez fotografie zaprezentowała zwyczajne sceny z życia ludzi zamieszkujących Podlasie, ich obrzędy również niepowtarzalną w innym zakątku Polski przyrodę i zabytki. Zdjęcia poprzez swoje zwyczajne akty ujmowały uczestników wernisażu prostotą i emocjonalnością przekazu ich autora. Niezwykłość wystawy unikatowych fotografii przyciągnęła grupę sympatyków tego rodzaju wydarzeń kulturalnego. Wśród nich znalazł się redaktor Radia Aspekt Jerzy Kapała, administrator Portalu Społecznościowego lubaczow360.pl Tomasz Mielnik oraz słuchacze audycji Minimax radiowej Trójki Piotra Kaczewskiego, a także członek zarządu Fundacji Pro Academia Narolense Jan Wolańczyk.

Wernisaż fotografii zachwycił wszystkich uczestników wydarzenia, a tych którzy nie mogli tego dnia przybyć na otwarcie wystawy mogą ją oglądać w Centrum Koncertowo – Wystawienniczym w Narolu do 2 maja bieżącego roku oraz on Line na FB Narol Kulturalna Stolica Roztocza. W drugim dniu imprezy odbył się znakomity koncert w wykonaniu znanego polskiego multiinstrumentalisty, wokalisty i kompozytora Józefa Skrzeka.

„Są takie koncerty, których nie sposób opisać słowami. Są tacy ludzie, którym nie wiadomo jak podziękować za to co zrobili. To nie, że w połowie koncertu nie było już prądu, bo doznania i odczucia podskoczyły na jeszcze wyższy poziom, gdy bez chwili pauzy Artysta grał dalej, dźwięki choć cichsze i oświetlone już tylko blaskiem świec, jeszcze głębiej wnikały w pokłady duszy uczuć... A gdzie tak było? W Narolu na Krupcu w cerkwi tam się dzieją rzeczy niepojęte. Przy takich ludziach, nie ma przypadków. Z podziękowaniami dla: Marlena Wiciejowska i wszystkich dzięki zaangażowaniu, których ten koncert się odbył oraz Tomasz, Jerzy, Ania, Alicja, Aleksandra, Grzegorz, Tomasz, Adam i dla moich druhów w niedoli lodowiskowego podróżowania oraz wszystkich, którzy z bliska i daleka przybyli na tę wyjątkową ucztę muzyczną”. Tak na gorąco zrelacjonował drugi dzień „Narolskich Spotkań” Andrzej Boładaniuk.

MW

cd. ze str. 1

Stan dróg problemem nr 1 dla gminy

będących w trudnej sytuacji lub o słabym charakterze.

Problem nr 1 dla gminy

Przede wszystkim drogi, głównie powiatowe. Wprawdzie ich sieć jest przystojna ale stan techniczny bardzo zły. Bez otwarcia na świat na sąsiadów gmina nie może się rozwijać. Nie można powiedzieć, że starostwo nic nie zrobiło. Ale wiele inwestycji jest nie zakończonych, położono asfalt nie zrobiono poboczy odwodnienia, odkrzaczania, brak chodników w terenie zabudowanym taki stan prowadzi do szybkiej dewastacji tego co już zrobiono. Gorzej jest na odcinkach dróg gdzie ostatni remont był przeprowadzany 20, 30 lat temu koleiny wyboje i dziury. Ważna jest też współpraca z sąsiednimi powiatami aby przejezdność dróg powiatowych nie kończyła się na granicy gminy. Dotyczy to powiatów przeworskiego, jarosławskiego, bilgorajskiego. Warto dodać że w nowej perspektywie budżetu unijnego premiowane mają być inwestycje wspólne w regionie.

Wciąż odkładana jest modernizacja drogi Oleszycy Stary Dzików? Można tu zauważyć odbijanie pileczki. Starostwo twierdzi, że po jego stronie jest pełne zaangażowanie. To samo można usłyszeć od pani wójt.

Zacznijmy od tego że jest to droga powiatowa i to na staroście spoczywa obowiązek jej modernizacji. Pomimo tego jest wola Rady Gminy w Starym Dzikowie i Oleszycach aby partycypować finansowo w przygotowaniu dokumentacji i remoncie. Spisane zostały stosowne porozumienia jednak starosta jak dotychczas nie wywiązując się z nich. W październiku radny powiatowy Henryk Goraj otrzymał na piśmie zapewnienie starosty, że zleci dokumentację remontu tej drogi ale w budżecie na rok 2014 brak takiego zapisu.

Był pan wieloletnim włodarzem gminy. Najpierw naczelnikiem, później wójtem. Dysponując bogatym doświadczeniem jak pan ocenia rządy swoich następców?

Powiem tak działali i działają w innych warunkach przy większym relatywnie budżecie a obowiązkach na poziomie lat dziewięćdziesiątych. Mają możliwość korzystania z środków unijnych plus wkład własny to duże pieniądze, które należy sensownie wydawać. I tutaj mam pewne zastrzeżenia. Inwestor w tym przypadku gmina którą reprezentuje wójt mający do dyspozycji spory aparat urzędniczy musi dokładnie wiedzieć jakie efekty chce uzyskać i jakim kosztem. O tym nie może decydować projektant, inspektor nadzoru czy wykonawca. Tak niestety czasem, moim zdaniem, się dzieje.

Wynikiem są zbędne wydatki a te pieniądze mogłyby zostać wydane sensowniej. Może Pan podać przykłady?

Zacznę się remont szatni na boisku sportowym za ponad siedemdziesiąt tysięcy zł nie da się zaprzeczyć jest ładniej świeżo ale funkcjonalnie jak było tak i pozostało na poziomie lat siedemdziesiątych. Remont i modernizacja stacji uzdatniania wody. Trzeba wójtę pochwalić bardzo poprawiła się jakość wody zadanie udane, ale po jakieś trochę było wydawać ponad 160 tys. zł na obkładanie zbiornika czystej wody płytami betonowymi. Świeży nasyp po dwudziestu latach osiadł nieco wystarczyłoby ubytek uzupełnić może dwoma wywrotkami ziemi i obsiać trawą. Koszt nieporównywalny. A efekt, pewnie 20 a może 40 lat do następnego remontu. Ogólnie tą kadencję oceniam pozytywnie. Sporo udało się zrobić a także naprawić niektóre błędy dwu poprzednich a skutkowało one uszczupleniem możliwości finansowych obecnej kadencji.

A czasy Pana gospodarzenia gminą?

Lata 1981 do 1990, potem 1994 do 2002 znacznie się różniły od obecnych. Podjęcie decyzji o rozpoczęciu inwestycji równało się z koniecznością zdobywania wszystkiego, finansowania, projektanta, materiałów, wykonawcy. Inwestycja finansowana z czterech a zdarzyło się i pięciu źródeł przyprawiła o ból głowy, bo każdy z współfinansujących miał trochę inne życzenia dotyczące na przykład terminów, wykonawstwa i inne. W takiej sytuacji w latach osiemdziesiątych przyszło mi kończyć stany surowe inwestycji rozpoczętych przez moich poprzedników, domu kultury, ośrodka zdrowia, rozbudowy budynku urzędu gminy, świetlic z remizami OSP w Ułazowie i Moszczanicy, budowa szkoły w Cewkowie, domu kultury i remizy w Cewkowie, rozbudowywać centralę telefoniczną prowadzić remonty dróg gminnych. Wszystko w tak zwanym systemie społeczno-gospodarczym z udziałem czynów społecznych. Pod koniec lat osiemdziesiątych po długich staraniach właściwie od początku kadencji udało się nam przygotować i rozpocząć inwestycję, która powiem może trochę przesadnie, spowodowała skok cywilizacyjny naszej gminy. Lata dziewięćdziesiąte początek dwutysięcznych to kontynuacja rozpoczętych inwestycji, budowa szkoły w Starym Dzikowie, remont szkół w Ułazowie i Moszczanicy, telefonizacja całej gminy kablami podziemnymi, remonty dróg we współpracy z PGNiG, Geofizyką Kraków, powiatem. A także powolne zmiany procesie inwestycyjnym do stanu dzisiejszego kiedy o powodzeniu decyduje solidne przygotowanie zadania nadzór i zapewnienie finansowania, cała reszta jest „na telefon”

Zadne z tych osiągnięć w tym czasie nie byłoby możliwe bez udziału wielu ludzi, urzędników UW w Przemyśle potem w Rzeszowie, fachowców, działaczy społecznych, radnych i mieszkańców naszej gminy.

rozmawiał Marian Ważny

Noworoczno – opłatkowe spotkanie pszczelarzy ziemi lubaczowskiej

W atmosferze świątecznej i noworocznej przebiegało spotkanie pszczelarzy z pow. lubaczowskiego, które odbyło się 13 stycznia br. w sali narad starostwa powiatowego w Lubaczowie. Wspólnie mogli pokolędować i pośpiewać wraz z zespołem śpiewaczym z Horyńca Zdroju i kapelą ludową Wiesława Kielbasy oraz przełamać się ze sobą opłatkiem. Prezes Koła i Stowarzyszenia Pszczelarzy Ziemi Lubaczowskiej „Eko – Barć” Roman Krawczyk powiedział: - Tworzymy największą organizację pod względem ilości członków i rodzin pszczelich w Województwie Związku Pszczelarzy w Rzeszowie. Nasze koło liczy od 120 do 140 pszczelarzy, którzy posiadają od cztery i pół do pięć tysięcy rodzin pszczelich. Mamy także ok. 80 pszczelarzy nie należących do koła ani stowarzyszenia. Roczna produkcja miodu wynosi od 100 do 120 tysięcy kilogramów. Jesteśmy zatem zagłębiem miodowym.



Prezydium spotkania

Prezes Koła i Stowarzyszenia w jednej osobie Roman Krawczyk omówił także inne problemy nurtujące pszczelarzy. - Nie w pełni wykorzystane zostały środki na zakup leków i sprzętu. W tym roku wchodzi do refundacji ule i lawety – przyczepy dla tych, którzy mają przynajmniej 30 rodzin pszczelich. Nasi pszczelarze zrzeszeni w stowarzyszeniu są beneficjentami środków unijnych, które były do zdobycia w Agencji Rynku Rolnego. Dzięki nim zakupiliśmy matki pszczoły, drzewa i krzewy owocowe oraz lipę i akacje. Starosta lubaczowski Józef Michalik poinformował, że gminy i powiat przygotowują się do opracowania nowych projektów do nowego rozdania środków unijnych. Podziękował stowarzyszeniu i kole za aktywność w środowisku, organizację corocznej wojewódzkiej majówki pszczelarskiej, która wpisana jest w kalendarz imprez kulturalnych. Życzył pszczelarzom, by ten rok był dla nich dobry, dawał pożytek, by rolnictwo było im przyjazne.

- Mamy zarejestrowane dwa miody lubaczowskie, tj. miód lipowy i wielokwiatowy leśny jako produkty tradycyjne. Jest to już pewna marka. Ten miód z etykietą i logo Ministerstwa Rolnictwa jest jakimś gwarantem jakości. Życzę, by w 2014 r. pożytki były jeszcze większe, pozwalały się wam rozwijać, dawały satysfakcję i korzyści materialne, by był rokiem miodnym – życzył wójt Wiesław Kapel.

Spotkanie opłatkowe i noworoczne było okazją do indywidualnych rozmów. Odnotowuję dwie z nich. - Mam 73 rodziny pszczoły...W minionym roku zebrałem ok. 600 kg miodu. Mam na niego stałych odbiorców. Sprzedaję indywidualnie, nie do skupu. Po dużych ubytkach, mam obecnie stacjonarną pasiekę w Kowalówce, pod lasem na łąkach. Jedną pasiekę postawiłem w lesie Piła licząc, że tam będzie spać, bo rosną jodły. Nie ma... Nasz teren jest już trochę przepszczelony - mówi Jan Zawada z Lubaczowa. - Mam 80 uli na Dzikowszczyźnie, Horaju i koło domu. Od miesiąca utworzyłem sklep internetowy. Jest zainteresowanie, ale są kłopoty z pakowaniem, wysyłaniem. Nawiązaliśmy kontakt i szukamy rynku zbytu na miód w Niemczech. Trzeba być aktywnym. - dodaje Lesław Hypiak z Oleszyc. W dyskusji pojawiają się głosy, by stworzyć Regionalny Związek Pszczelarzy w Lubaczowie podległy bezpośrednio pod Polski Związek Pszczelarzy.

Adam Łazar

W przedwojennym i powojennym Lubaczowie. Ulica Kościuszki (7)

Z Kościuszki w Piotra i Pawła

Przed wojną dawna dróżka „Piotra i Pawła” (dziś uliczka Orzeszkowej) miała zabudowania tylko po prawej stronie, z numeracją od 1 do 12. Tuż przed skrzyżowaniem stał dom żydowskiej rodziny Kormanów (o jej tragicznym losie podczas okupacji, pisałem w poprzednim „Kresowiaku”). Po wojnie przejęty przez Skarb Państwa plac otrzymali **Helena i Józef Misztalowie** w zamian za własność pozostawioną za granicą w Sokalu. Postawili dom. On był krawcem i miał kilku uczniów a do lat 90-tych przez ponad 20 lat uczył krawiectwa w Szkole Zawodowej w Lubaczowie. Mieli 4 dzieci: 3-synów i córkę **Krystynę pm. Trojnar** - mają rówieśnicę (zmarła we Włoszech, jej prochy spoczęły na cm. w Lubaczowie). Obecnie mieszka tu wielopokoleniowa rodzina Jerzego Trojnara.

Place począwszy od Kormanów po Picurę grubo przed wojną były własnością **Jana Cielucha**, którego trzy córki sprzedały potem testamentową własność Kormanowi, Katarzynie Wis, Sochaniowi i Żydowi Beiryszowi i wyjechały do pracy urzędniczej do Warszawy. Wynikiem kolejnego małżeństwa pierwsza posesja przy tej dróżce stała się własnością **Katarzyny i Włodzimierza Potuczków**. Włodzimierz przybył z Przemyśla, ściągnięty do Lubaczowa jako kwalifikowany kinooperator do istniejącego przed wojną przy ul. Tartacznej prywatnego „Kina Markiewiczza”, i tu się ożenił. M.in. grał na akordeonie w żydowskiej orkiestrze Frenkelów a po wojnie z „Leśnikami”. Zdolny radiotechnicznie, w czasie okupacji zmuszony był naprawiać Niemcom radia (oficjalnie w dzień) a nocą przy „zakoczonych” szczelnie oknach reperował radiostacje leśnej partyzantki (łącznikiem z „leśnymi” był Tadeusz Tabacek s. Ludwika). Z fascynowania muzyką stał się autorem nazwy „Melodia” dla funkcjonującego potem po wojnie przez pół wieku lubaczowskiego kina. Synowie Potuczków: Stanisław i **Zbigniew** (podobnie jak ich ojciec - znani lubaczowscy kinooperatorzy, całe swe życie oddani pasji tego zawodu) ze swymi rodzinami zamieszkali oddzielnie. Z trojga dzieci na ojcowiznie pozostała Anna pm. Wójciak. Przez 38 lat była nauczycielką w Zespole Szkół Zawodowych w Lubaczowie. Mąż **Stanisław Wójciak** ur. w Rudcu, z zawodu geolog - był w tej branży jedynym fachowcem w powiecie (wówczas nie było zrozumienia dla tej gałęzi nauki). Wyposażony w wiedzę i literaturę z tego zakresu, wręcz pasjonował się geologią naszego terenu. Niektóre jego niewykorzystane przewidywania geologiczne znalazły praktyczne potwierdzenie po latach. [O rodzinie Potuczków i historii powiatowego kina: KG 7/2011-5/2012].

Kolejny dom był własnością **Józefa Sochania** - wg wiedzy Lubaczowian osoby o negatywnej postawie w czasie okupacji niemieckiej. Z żoną Jadwigą i dziećmi po wojnie wybył na zachód Polski. Dom czasowo zamieszkiwali Argasińscy, a w latach 60-tych rodzina Józefa Opiata. Parcelę kupił potem nowy nabywca, obecnie własność Teresy i Stanisława Furgałów.

Trzecim zabudowaniem (na placu kupionym od Beirysza) była kamienica **Władysława Picur** - Piłsudczyka, inwalidy wojennego z 1920 r., z bliznami na twarzy. Za „Polski Ludowy” był prezesem Spółdzielni Pracy oraz przez wiele lat pełnił funkcję prezesa Związku Inwalidów w Lubaczowie. Żona - Maria. Z tego domu pochodzi jego syn - Edward Olbromski znany lubaczowski historyk, autor wspomnień z dziejów Kresów, zaangażowany w lokalne sprawy, m.in. orędownik przywrócenia tej uliczce dawnej nazwy. Kamienica stała się własnością córki Władysława - **Janiny i Michała Niemców**. Ci mieli troje dzieci (Ryszard, Jerzy, Halina), obecnie własność córki - Haliny. Michał N. był uczestnikiem kampanii wrześniowej i walk Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, był odznaczony Krzyżem Walecznych, Gwiazdą Francji, Italii i Anglii.

Uliczka miała swego bednarza; dom nr 4 - **Adolfiny i Michała Kornagów**. Michał był jednym z kilku lubaczowskich bednarzy. Jedyne go ich syna Andrzeja Niemcy zamordowali w Oświęcimiu. Posesję potem spłacił siostrzeniec Adolfiny - **Adolf Butyński**, który przygarnięty przez wujostwo, u wuja uczył się zawodu, a który potem przez dziesiątki lat był bardzo dobrym bednarzem. [O lubaczowskich bednarzach: KG 3-4/2008]. **Adolf z żoną Anielą** (z d. Zuba, z Polanki Horynieckiej) mieli troje dzieci

(Stanisław, Jan, Bernadeta), obecnie mieszka tu w nowym domu córka - Bernadeta i Józef Kisalowie.

Na następnej parceli, po odzyskaniu niepodległości po I wojnie światowej zbudował drewniany dom i zamieszkał przybyły prawdopodobnie ze Lwowa młody lekarz - Zygmunt Leszczyński. Potem od 1922 r. był dyrektorem lubaczowskiego szpitala. Lokalizacja jak dla lekarza nie była zbyt szczęśliwa - daleko od Rynku, nie przy głównej a bocznej polnej, i przeważnie błotnistej dróżce. Niezadowolony z tego lekarz dokonał zamiany z Mazurkową na parcelę przy ul. Kościuszki naprzeciw cmentarza gdzie postawił swój nowy dom. Przy Piotra i Pawła zamieszkali - **Teofila i Józef Mazurkowie**. Mieli synów: Władysława i Stanisława. Pierwszy podczas okupacji został wcielony przez Sowieców do Armii Czerwonej (w tym samym czasie wzięli do tej armii dwóch braci - synów żydowskiej rodziny Kormanów), po wojnie wrócił na krótko do Lubaczowa z żoną Rosjanką, następnie wyjechali do Bytomia. Drugi po maturze i szkole oficerskiej dosłużył się stopnia pułkownika, obecnie na emeryturze w Krakowie.

Kolejny dom - ukraińskiej rodziny **Łozińskich**. Mieszkał tu potem ich syn z II młż. - **Michał Szymeczko z żoną Franciszką**. Z 4-ga dzieci Szymeczków (Stanisław, Mieczysław, Michał, Irena) w Lubaczowie pozostał z żoną Lucyną i dziećmi tylko Stanisław. Obecnie dom rozebrany, parcela dobrze utrzymana jest własnością wnuka M. i F. - Waldemara Szymeczki.

Uliczka miała też swego krawca; **Władysław Chamiec i żona Anieła**. Ci mieli dzieci: Piotra, Zenona i Marię. W odnowionym ich domu mieszka córka - Maria i Janusz Bilikowie.

Kolejny plac - niegdyś rodziny Butyńskich. Stąd wywodzili się znani (nie żyjący już) nasi przez dziesięciolecia lubaczowscy fryzjerzy: **Bolesław, Julian i Eugeniusz - Butyńscy**. [O lubaczowskich fryzjerach - Butyńskich: KG 3/2005]. Ich siostra **Teofila** wyszła za mąż za **Edwarda Wiśniowskiego** (tu mieszkali, mieli syna **Antoniego**, po śmierci żony Edward ożenił się z **Janiną Kaplon**), druga siostra - **Czesława pm. Mach** miała dwóch synów, z których Waldemar wybudował tu nowy dom. Na sąsiednim placu niedawno dom postawił Rawski.

Dawny dom przy Piotra i Pawła nr 10 przed wojną należał do rodziny **Argasińskich - Franciszek z żoną**. Przesz kilka lat po wojnie mieszkali w domu Sochaniów bo ich dom spalili banderowcy. Mieli czworo dzieci: syna **Mariana** i trzy córki - Helena zamężna za **Franciszkiem Ciochem**, Felicja wyjechała do Kanady gdzie wyszła za mąż za **Antoniego Urbana**, na placu pozostała i dom postawiła Józefa zamężna za **Wiktoorem Filipowskim**.

W następnym domu przed wojną mieszkali **Śliwowie z synem i córkami Bronisławą i Eugenią**. W rodzinnym domu pozostała najmłodsza - zamężna za **Bilikiem**. Potem w latach 60-tych Bilikowie z czterema synami przeprowadzili się na ul. 3 Maja, dom nabyli Markiewiczowie.

Ostatni dom (12-ty z przedwojennej numeracji) należał do **Anny i Jana Młodzińskich**. Ich syn **Tadeusz** był krawcem „bez szyldu”, i jak mówił mi ojciec - szył co nieco i naszej rodzinie. Obecnie jest tu nowy dom E. i Stanisława Młodzińskich, którzy mają sześciu mieszkających w Lubaczowie dorosłych dzieci. Jest to ostanía posesja starej dawnej przedwojennej dróżki Piotra i Pawła, dziś urokliwej uliczki. Są jeszcze 2 domy nowsze, te powstały już przy ul. Orzeszkowej, po lewej stronie. Dom Marii (Weroniki) i **Mieczysława Piątków** (on - księgowy w nadleśnictwie Narol, m.in. umiał grać na instrumentach), od ok. 1993 r. oboje w tym nowym domu w Lubaczowie. Naprzeciwko - dom rodzinny Ireny i Wiesława Lejów (syn znanego leśniczego).

W najlepszej wierze starałem się zatrzymać w pamięci dawną uliczkę Piotra i Pawła i jej byłych (w okresie 100-lecia) i obecnych mieszkańców (osoby zmarłe - grubsza czcionka). Jest to przypomnienie, że nie jesteśmy znikąd, że gdziekolwiek odfrunęliśmy, tu w uliczkach Lubaczowa są nasze korzenie.

Adam Szajowski

Burzliwe dzieje młyna w Cieszanowie (cz. III)



Maria Steudle
Niemcy

*Poznanie przeszłości jest konieczne, by móc mądrze służyć teraźniejszości
i godnie utrwać swój ślad na Ziemi.*

Wawrzyniec Komosiński właścicielem młyna

Ostatni właściciel młyna Wawrzyniec urodził się 3 sierpnia 1893 roku w Cieszanowie, w wielodzietnej rodzinie, jako syn Jana Komosińskiego i Franciszki z d.Hulak. Wawrzyniec



Wawrzyniec Komosiński

w młodym wieku został murarzem. Zwerbowano go do 29 kompanii wojska austriackiego w Drohobyczu, w którym służył w stopniu kaprała. Po powrocie z I Wojny Światowej, 11 września 1919 roku w Cieszanowie Wawrzyniec wziął ślub z Franciszką Koziej. Aktem notarialnym spisany przed notariuszem Ernestem Gauthierem w Lubaczowie dnia 9 sierpnia 1919 r. Jan Koziej sprzedał swoją jedną czwartą część młyna z placem w Cieszanowie Wawrzyńcowi Komosińskiemu, zachowując sobie prawo dożywotniego, bezpłatnego, wspólnego i równorzędnego użytkowania tej sprzedanej części parceli i młyna. Cena kupna wynosiła 12 tysięcy koron. Młode małżeństwo zamieszkało z teściami w domu stojącym na placu obok młyna przy ul. Kościuszki.

Jan Koziej zmarł w 1936 roku. Jego obowiązki w młynie przejął zięć Wawrzyniec Komosiński, mój dziadek. W okresie dwudziestolecia międzywojennego młyn doskonale prosperował. Aby zmieścić w nim zboże należało zapisać się kilka dni wcześniej na liście oczekujących. Decydowała o tym doskonała jakość maki, kulturalna obsługa, uczciwość i sto-

sunkowo niskie ceny za usługę. Duża w tym zasługa dziadka Wawrzyńca. Z niezwykłą sumiennością zajmował się młynem. Był ambitny i zależało mu bardzo aby ludzie byli zadowoleni z usług jego młyna. Codziennie pracownicy spędzali w nim czas, nadzorując i pomagając pracownikom pokonać różne zawodowe trudności. Od swoich pracowników wymagał solidności, co owocowało wysoką jakością usług. Chociaż w okolicy były inne młyny, to jednak ludzie wybierali zakład dziadka Wawrzyńca. Sprawdzał się jako właściciel i zarządca szczególnie. Jako kombatanat mający za sobą I wojnę światową, znający trudy życia, szanujący ludzi i ich pracę, cieszył się w Cieszanowie niekwestionowanym autorytetem.

Dzieje rodzeństwa Wawrzyńca

O ile życie rodziny dziadka Wawrzyńca ułożyło się szczęśliwie, to losy jego rodzeństwa były bardzo burzliwe i dramatyczne. Szczególnie tragiczne było życie Andrzeja - najstarszego brata. Po I wojnie światowej opuścił rodzinne miasto i wyjechał do Stanisławowa, gdzie z żoną Heleną mieszkał aż do wybuchu II Wojny. Mieli trójkę dzieci: Jadwigę, Mieczysława i Zbigniewa. Andrzej służył w pułku Ułanów Kaniowskich, w latach 30-tych pracował w Państwowej Komendzie Uzupełnień w Stanisławowie. W czasie okupacji niemieckiej Andrzej i Helena nie zlikwidowali mieszkania w Stanisławowie, ale przenieśli się wraz z dziećmi do Starych Bohorodczan k.Stanisławowa. Tu



Andrzej Komosiński

podjęli pracę w miejscowej szkole i czasowo zamieszkali w domu Hanny Kostiuk.

W grudniu 1944 roku Andrzej Komosiński, jego żona Helena, córka Jadwiga i syn Mieczysław z racji polskości zostali zamordowani przez

nacjonalistów ukraińskich (także syn Hanny Kostiuk został wówczas zabity). Wszystkich pochowano na podwórku obok domu.

Ich syn Zbigniew urodzony w 1922 roku opuścił kraj w 1939r., ponieważ groziło mu



Grób Zbigniewa Komosińskiego

aresztowanie, służył jako żołnierz w stopniu kaprała podchorążego w 2 pułku pancernym dywizji gen. S.Maczka. Chciał walczyć o odzyskanie niepodległości Polski. W wieku 23 lat zginął w bitwie pod Falais we Francji 20 sierpnia 1944 roku. Został pochowany na Polskim Cmentarzu Wojskowym Urville-Laugannerie (grób 179).

Najmłodszy brat Wawrzyńca Piotr u. w 1904 roku podążył śladem Andrzeja i wyjechał do Stanisławowa. Tu najpierw jako uczeń, potem majster pracował w branży mięsnej. W październiku 1945 Piotr z żoną i czworgiem dzieci zmuszony został opuścić Stanisławów. Pociągiem repatriacyjnym dotarł do Bolesławca Śląskiego na Ziemiach Odzyskanych, gdzie osiadł. Dzięki staraniom dzieci Piotra, w 2008 r. prochy zamordowanego stryja Andrzeja i jego rodziny zostały sprowadzone do Bolesławca Śląskiego. Tam spoczywają wraz z Piotrem i jego żoną Antoniną we wspólnej mogile na miejscowym cmentarzu.

Brat Wawrzyńca Marian i jego żona Helena osiedlili się w Drohobyczu. Marian był urzędnikiem w miejscowym sądzie. Po zajęciu Drohobycza przez Rosjan, rodzina Mariana zmu-

cd. na str. 6

Burzliwe dzieje młyna w Cieszanowie (CZ. III)

szona była wyjechać, zatrzymali się w Katowicach. Mieli dwoje dzieci - córkę Halinę i syna Zdzisława. Halina pracowała jako prof. Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Syn Zdzisław został zakonnikiem w Leżajsku, później trafił do Krakowa do Zakonu Kapucynów, gdzie obronił pracę doktorską. Tutaj też zakończył życie.

Siostra Wawrzyńca Stanisława urodzona w 1897 roku, po I Wojnie Światowej wyjechała do Paryża. Tu w 1925r. wyszła za mąż za Andrzeja Sitarza pochodzącego z Dzikowa, byłego pracownika młyna Jana Kozieja w Cieszanowie. Ich jedyny syn Jan był pracownikiem naukowym - oceanografem.

Najmłodsza siostra Wawrzyńca Janina urodzona w 1913 roku szybko została sierotą. Gdy umarł ojciec Janiny-Jan, miała zaledwie 6 lat, a gdy zmarła matka Franciszka, miała 11 lat. Wychowaniem jej zajęła się siostra matki Katarzyna Litwin z mężem Michałem. Janina po ukończeniu Prywatnego Seminarium Nauczycielskiego w Cieszanowie w latach 1925-1932 (była koleżanką p. Eugeniusza Szajowskiego z Lubaczowa), wyjechała z rodzinnego miasta i pierwszą pracę nauczycielską podjęła w Kowlu na Wołyniu, potem na Polesiu w Brodach Górnickich. W czasie okupacji niemieckiej uczyła w szkole w Justynówce w pow. Tomaszów Lubelski. Janina z mężem Karolem Soplakiem mieli troje dzieci. Po II Wojnie Światowej Janina pracowała w Ministerstwie Oświaty w Warszawie. Później z rodziną zamieszkała w Płocku, tam doczekała kresu życia. W Cieszanowie po II wojnie światowej z całej rodziny Komosińskich został tylko Wawrzyniec i jego siostra Paulina urodzona w 1899 roku, po mężu Szepiecińska.

Można więc z satysfakcją powiedzieć, że rodzeństwo Wawrzyńca i ich dzieci szły godnie przez życie, zachowując w sercu i rozumie wartości patriotyczne. Były one dla nich służbą społeczną, a zdobywanie wiedzy było narzędziem do ich utwierdzenia. Godna uznania jest więc rodzinna rodzeństwa Wawrzyńca. Dramat któregoś z nich był dramatem wszystkich. Zawsze w miarę możliwości śpieszyli sobie wzajemnie z pomocą. Sierota Janina została przysięgnięta, zadbane o jej wykształcenie. Większość rodzeństwa Wawrzyńca los rzucił w odległe miejsca. Mimo to utrzymywali ze sobą kontakt i zachowali więź rodzinną. Wśród nich mamy żołnierza, który zginął na polu bitwy, mamy zakonnik, wysokiej rangi urzędnika, pedagogów i naukowców.

Ich groby znajdują się we Francji, na Dolnym Śląsku, w Płocku. Tylko Wawrzyniec Komosiński, zięć Jana Kozieja - założyciela młyna, jego żona Franciszka z d. Koziej i siostra Wawrzyńca Paulina, spoczywają na cmentarzu w rodzinnym Cieszanowie.

Ciąg dalszy w następnym numerze

Maria Steudle zd. Komosińska

Szukam zdjęć starego młyna!

Z okazji wspomnień o młynie, który przed 100 laty w Cieszanowie (na koncu ul. Kosciuszki) został zbudowany i znajdował się w posiadaniu Jana Kozieja i Wawrzyńca Komosińskiego, szukam zdjęć tego młyna i jego okolic. Nagroda za każde zdjęcie - 100 zł. Proszę o kontakt ze mną:

-przez mój adres e-mail: maria.steudle@gmail.com -lub poprzez Redakcję Kresowiaka Galicyjskiego

Maria Steudle z.d. Komosińska

Rozdano Rogi i Misy dla laureatów 35. Biesiady Teatralnej

Fenomen Horyńca Zdroju trwa. To już po raz trzydziesty piąty w tym znanym kurorcie, na scenie Gminnego Ośrodka Kultury mieszczącego się w dawnym dworskim teatrze Ponińskich, zespoły teatralne małych form z całej Polski rywalizowały o Rogi Myśliwskie Króla Jana i Misy Borowiny. Do finałowej rozgrywki tegorocznej Biesiady Teatralnej, która odbyła się w dniach 23 - 26 stycznia br., spośród kilkudziesięciu chętnych zakwalifikowano 14 zespołów teatralnych z całego kraju. Oceniało ich występy jury w składzie: Krzysztof Sielicki - kierownik literacki Teatru Polskiego Radia z Warszawy, Łukasz Drewniak - krytyk teatralny z Krakowa i Tomasz Rodowicz - aktor, muzyk i reżyser z Łodzi. W niedzielne popołudnie (26 stycznia br.) podczas uroczystej gali ogłoszono

wyniki. Złoty Róg Myśliwski Króla Jana czyli pierwszą nagrodę w kategorii dokonań zespołowych i nagrodę w wysokości 4000 zł ufundowaną przez Marszałka Województwa Podkarpackiego przyznano dla Pijanej Sypialni z Ośrodka Działań Artystycznych „Dorożkarnia” w Warszawie za spektakl „Osmędeusze” Mirona Białoszewskiego, w reżyserii Stanisława Dembskiego. Srebrny Róg Myśliwski Króla Jana wraz z nagrodą dyrektora Centrum Kulturalnego w Przemyślu w kwocie 3000 zł pojechał wraz z Amatorskim Teatrem Dramatycznym im. Józefa Żmudy do Stalowej Woli. Otrzymał go za spektakl „Przetańczyć zmierzch” w reżyserii Anety Adamskiej i Macieja Szukały. Brązowym Rogiem Króla Jana i nagrodą 2500 zł przekazaną przez Wójta Gminy Horyniec Zdrój obdarowane zostały Młode Dzielne Kuropatwy czyli Teatr Młodzieżowego Domu Kultury w Rzeszowie za sztukę „Ptam” Krystyny Miłobodzkiej, w reżyserii Moniki Adamiec.



Jurorzy za indywidualne dokonania twórcze przyznali Misy Borowiny. Złotą Misę i nagrodę Starosty Powiatu Lubaczowskiego w wysokości 2000 zł otrzymał Ryszard Jakubisiak za reżyserię spektaklu „Dotyk” w wykonaniu teatru Parabuch z Warszawy. Srebrną Misę i nagrodę 1500 zł ufundowaną przez dyrektora CK w Przemyślu otrzymali: Natalia Bieńczycka i Jarosław Ostrowski za rolę w spektaklu „Dotyk”, natomiast Brązową Misę Borowiny i nagrodę 1300 zł ufundowaną przez dyrektora CK w Przemyślu otrzymała Agata Orłowska z teatru Ecce Homo w Kielcach za rolę w spektaklu „Orfeusz i Eurydyka” opartym na motywach Czesława Miłosza. Były też dwa dyplomy honorowe dla: Kingi Fornek z teatru „Przedmieście” z Ośrodka Działań Teatralnych Anety Adamskiej w Rzeszowie za rolę w spektaklu „Dybuk” oraz Igora Stępniewskiego z teatru Resursa z Radomia za rolę w sztuce „Wybryk” Stanisława Ignacego Witkiewicza. Pojawiły się również nagrody pozaregulaminowe, ufundowane przez Firmę Komputerową „Lech - Kom” z Lubaczowa Marii i Jana Lechowiczów dla muzyków z teatru „Przedmieście” z Rzeszowa oraz Uzdrowisko Horyniec dla teatru Planeta M z Poznania.

W protokole dla potomnych zapisano taką refleksję: „Jury z satysfakcją podkreśla, że program jubileuszowej 35. Biesiady Teatralnej składał się z przedstawień ważnych, ciekawych i uczciwych artystycznie. Ich twórcy dowiedli po raz kolejny, że teatr nie instytucjonalny, stworzony z miłości i pasji do sztuki, jest otwarty na to, co żywe jest w kulturze i życiu społecznym. Dziękujemy więc twórcom i organizatorom z Przemyśla i Horyńca. Odczytany został także drugi protokół tj. komisji zbierającej głosy publiczności dla jej laureata. W plebiscycie tym zwyciężył teatr Fieter z Ozimka. Podczas trwania Biesiady jurorzy prowadzili dla kierowników zespołów warsztaty artystyczne. Natomiast aktorzy poza prezentacjami konkursowymi, grali swoje sztuki w godzinach wieczornych dla miejscowej ludności oraz kuracjuszy.

Horyniecka Biesiada Teatralna to najstarszy w kraju przegląd amatorskich teatrów małych form. Warto te konfrontacje amatorskich z nazwy zespołów teatralnych kontynuować w przyszłości, nie szczędzić środków na ich organizację. Trzeba chuchać i dmuchana tę imprezę, by fenomen kulturalny Horyńca Zdroju trwał.

Adam Łazarz

Królewska wieś Krupiec

Krupiec w XVII wieku to wieś królewska, należąca do kompleksu dóbr starostwa lubaczowskiego, obecnie część Narola Miasta, leżąca na lewym brzegu Tanwi. Pierwszą informację o Krupcu zamieścił autor protokołu wizytacyjnego z dnia 16 lutego 1604 roku. Na dokument ten powołuje się nieznany autor rękopisu traktującego o historii parafii w Narolu i Lipsku. Drugą z kolei informację o Krupcu zawiera Lustracja Starostw, Dzierżaw i innych dóbr w województwie bełskim położonych w roku 1662. Wymieniona jest jako „Wieś albo uroczyszcze Krupiec”. Założona na nowiźnie, podlegała pod wójtostwo w Bruśnie, a dołączona do wsi Dziewięcień, która w tym czasie stanowiła tenutę (tenuta - dobra królewskie królewskiej oddane szlachcicom - tennariuszowi za zasługi istotne lub wymienione w dzierżawę dożywotnią).

W najnowszej książce pt. „Roztocze - dzieje osadnictwa” Jan Buraczynski na stronie 143 pisze: „Na południowym skłonie Roztocza na surowym korzeniu lokowano wsie: Susiec, Skwarki i Krupiec w 1600 roku. Pod względem administracji kościelnej Krupiec należał do parafii Narol w 1639 roku. Z chwilą utworzenia parafii w królewskim mieście Płazowie w 1639, został do niej włączony. Nazwa Krupiec najprawdopodobniej pochodzi od nazwy wzgórza leżącego na południe od wsi wznoszącego się do 347 m nad poziom morza. Posesorem czyli właścicielem od 1658 roku był Walerian Rzewuski.

Granice Krupca w tym czasie nie były dokładnie określone. Stąd wynikł spór między dzierżawcą Rzewuskim a lustratorami, którzy działali w imieniu Wielmożnego Pana Aleksandra Michała, pana na Wiśnicz, starosty lubaczowskiego.

Według lustracji z 1662 roku Krupiec liczył łanów półczwarta. Należał do wójtostwa w Baszni a poddanych którzy na zagrodach siedzą ośmiu.

Ich powinności określone zostały w lustracji: „Ci robić powinni po dniu w tydzień, z zagrody czynszu dawać powinni po florenów 5 co od ośmiu czyni 40. Ciż dać powinni po kapłonie jednym. Robić powinni od śniadanych godzin dzień w dzień, co się szacuje na rok fl. 8 gr. 12.

Dochód z tej wsi oszacowany został przez lustratorów na 50 florenów z którego kwartę co rok na Świątki do Skarbu Rzeczypospolitej w Rawie miano odprowadzać.

Przez okres od 1662 do 1747 roku wieś ta nie figuruje w lustracjach starostwa lubaczowskiego. Dopiero w 1762 czytamy w inwentarzu „Wieś Krupiec nazwany za osobliwym przywilejem do Starostwa Lubaczowskiego należy iż jest kupionym i przyłączonym w roku 1747”.

W połowie XVIII wieku wieś ta była w dużym stopniu wyludniona. Inwentarz starostwa lubaczowskiego z roku 1762 wymienia „Niwa Łoza Pusta leży niesiana, Niwa Żar z Pomianu, reszta pusta”. Część pól krupieckich uprawiana była przez dzierżawców z Gorajca.

W 1762 roku Krupiec liczył 11 zagród chłopskich. Każdy z chłopów uprawiał jeden lub dwa półciwarki, które liczyły po 12 zagonów. Chłopi, którzy uprawiali po jednym to Tomek Pogorzelnik, Jakub Jakubiec, Wawrzyniec Krawach, Fedko Bombar, Fedko Stupak, Jacko Kuch, P. Lisiewicz, Michał Aron. Wśród tych, którzy uprawiali po jednym półciwarku był tkacz - Tomek Pogorzelnik i młynarz Wawrzyniec Kramarz. Po dwa półciwarki uprawiali

Fedko Szarhun, Szymko Pana Leśny i Petro Szczyło. Wśród tych jedenastu chłopów pańszczyznę odrabiali: Tomek Pogorzelnik, Jakub Jakubiec, Fedko Szarhun, Petro Szczyło. Czynnoscownicy to P. Lisiewicz, Michał Aron, Fedko Bombar, Fedko Stupak i Jacko Kuch. Fedko Szarhun i Petro Szczyło jako pańszczyźniany odrabiali pańszczyznę tylko z jednego półciwarka z drugiego płacili czynsz. We wsi mieszkali też tkacze.

Był nim wymieniony już Tomek Pogorzelnik. Z półciwarka, który obsiewał odrabiał pańszczyznę tak jak inni chłopci pańszczyźniany w wysokości 1 dnia w tygodniu. W szczególnie uprzywilejowanej pozycji był „Szymko Pana Leśny”. Uprawiał w formie deputatu jeden półciwark. Z drugiego płacił czynsz, czynsz płacił również z półciwarka młynarz Walerian Kramarz. Czynsz w wysokości 6 zł obowiązywał wszystkich bez względu na jakość pól. Wszystkich półciwarków we wsi było 18, każdy z nich liczył po 12 zagonów.

Półciwarki miały swoje nazwy. Były więc: Mazurowski, Mirwickiego, Karprowicza, Maxymowski, Zarzyckiego, Aroniowe, Czaplowski jeden, Czaplowski drugi, Bardowski, Czarnego, Mielnicze, Szwanow, Bombarowski, Panasowe, Feckowski, Szczebiatowe, Madejowskie, Cwierć Pusta. Była też Cwierć Monasterska, należąca do monasteru Bazylianów. Cztery półciwarki należały do arendy, czyli do dzierżawy młyna. Osobną jednostką był łan księży należący do kościoła płazowskiego za dziesięciną. Nazwy półciwarków świadczą że kilkadziesiąt lat wcześniej Krupiec był zamieszany przez chłopów o innych nazwiskach. Okres od 1762 roku do 1765 nie należał do najszczęśliwszych dla Krupca. Największym ciosem dla tej wsi było raptowne zmniejszenie się liczby ludności.

Lustracja z 1765 roku wykazała że we wsi poddanych wraz z mielnikiem i czynszownikami było 7.

We wsi był staw, wybudowany przy krynicy. Na końcu stawu był młyn o jednym kamieniu.

Młynarzem w 1765 roku był Walerian Kramarz, a młyn usytuowany był po prawej stronie szosy jadąc z Narola do Płazowa. Obecnie na miejscu stawu jest cmentarz katolicki. Z dużego stawu pozostał tylko mały strumyk, który wpada do Tanwi. Być może w tym stawie pływały liczne pstrągi, tak popularne w tym czasie w innych stawach na terenie Narolszczyzny. Do wsi należały również rozległe lasy, przeważnie sosnowe o których lustracja z 1765 roku informowała: „lasy sosnowe ciągnące się ku Płazowie więcej na pół mile”.

Lustracja z 1765 roku informuje nas o dzierżawcy młyna i stawu. Arendarz czyli dzierżawca miał: młynek o jednym kamieniu, karczemka ale pusta, nikt w niej nie mieszkał, pola cwierni 2, łąka przy Tanwi na kosał 5, paśne od byłda postronnego na polach krupieckich, za poddanych trzech z Krupca teraz innych w zamian z Huty dano, Pieniędzy za zmiełone zboże nie brano tylko tak zwany odsyp, czyli kilka kilogramów zboża jako zapłata. Najprawdopodobniej zboże to młynarz wrzucał do stawu jako pokarm dla pstrągów. Dochód roczny z Krupca wynosił 610 zł 25gr. Od tej sumy odjęto 60 zł dla gospodarza folwarcznego, mówiąc językiem współczesnym dla kierownika gospodarstwa. Sumę 29 zł i 13 groszy przeznaczono na naprawę budynków. Czysty dochód z Krupca wynosił więc

460 zł. Kwarta (czyli ¼ z tej sumy w wysokości 115 zł) corocznie płacona być miała do Skarbu Koronnego.

W 1778 roku Krupiec wchodzący w skład dóbr kameralnych czyli królewskich, zajęty został przez rząd austriackich i od tej pory aż do 1818 roku był własnością rządu austriackiego. W tym okresie zaszły spore zmiany terytorialne wsi. W mapie klucza narolskiego, sporządzonej około 1804 roku jest wymieniony Krupiec jako własność hrabiego Maurycego Łosia. W opisie tej wsi znajdujemy taką wiadomość „Wieś Krupiec poddanych 11, Plac na którym Wieś z Ogrodami zawiera morgów 11, sążni 20. Grunta te, ze wsi morgów 192, sążni 400. Łąki nad Tanwią Rzeką morgów 3, sążni 1300.

Wbrew pozorom jakie stwarza mapa, Krupiec nie był dziedziczną własnością Łosiów. Świadczy o tym fakt jaki miał miejsce w 1818 roku. Wtedy to Krupiec wraz z całą sekcją III dóbr lubaczowskich został sprzedany baronowi Brunickiemu za złotych reńskich 75050.

Część jednak pól krupieckich pozostała w rękach Łosiów, a później Puzynów. Fakt ten możemy tłumaczyć tym, że około 1790 F.A. Łoś otrzymał od cesarza austriackiego tytuł Wielkiego Kuchmistrza Dworu. I do tego tytułu rząd austriacki najprawdopodobniej dodał wieś Krupiec.

Wieś liczyła wówczas o wiele więcej ludności aniżeli w 1765. Nowi przybysze, osiedleni za czasów F.A. Łosia to przeważnie ludność wyznania greko - katolickiego. W niedalekiej przeszłości Krupiec zostanie nawet siedzibą parafii greko - katolickiej. Do tej parafii oprócz Krupca, należały jeszcze Wola Lipska (Wielka), Łapajówka (Jędrzejówka), Łukawica, Lipie, Chlewiska, Narol, Lipsko, Kadłubiska i Chyże.

Proces integracyjny Krupca z Narolem był dość długi, zakończony został już przed rokiem 1854. Wymownym świadectwem jest lista mieszkańców Narola Miasta sporządzona w 1854 roku. Na liście tej umieszczone są nazwiska mieszkańców Krupca. Ważnym wydarzeniem integracyjnym było zakupienie przez władze miasta placu z przeznaczeniem na cmentarz katolicki w 1842r. Był to pagórek obok dawnego stawu, przy którym był młyn Waleriana Kramarza.

Jedną z najstarszych pamiątek nagrobnych na tym cmentarzu jest krzyż z piaskowca na grobie powstańców z okresu Powstania Styczniowego. Około roku 1680 zbudowano na Krupcu monaster Bazylianów. Budowniczym był o. J. Jamnicki, założyciel monasteru wehrackiego.

Parafia greko - katolicka z siedzibą w Krupcu wchodziła w skład dekanatu potylickiego, diecezji przemyskiej. W parafii były trzy cerkwie drewniane: jedna w Krupcu, druga w Lipsku, trzecia w Woli Wielkiej, wybudowana na początku drugiej połowy XVIII wieku jako kościółek katolicki.

W Krupcu cerkiew drewniana została rozebrana a w roku 1899 wybudowano na tym samym miejscu cerkiew murowaną. W cerkwi krupieckiej znajdowała się słynna na całą okolicę ikona Matki Bożej Krupieckiej. Obraz ten obecnie znajduje się w budynku parafialnym w Łukawicy.

Henryk Wolańczyk

Ostatni Mazur

W bitwach Powstania Styczniowego stoczonych przez powstańców oddziału gen. Antoniego Jeziorańskiego w dniu 1 i 6 maja 1863 r. pod Kobylanką, w gronie ok. 740 powstańców był i taki, który w pewien charakterystyczny sposób nie dał o sobie zapomnieć.

Chodzi o młodego zaledwie 22-letniego wówczas słuchacza praw - Ludwika Ksawerego h. Pomiana Łubińskiego (używane też nazwiska: „Łubieński”, „Łubiński”). Urodził się w 1839 r. w Demence. Był synem

Eugeniusza - rotmistrza 4 pułku ułanów z 1831 r. W 1863 r. nieobojętny na odgłosy powstania zgłosił swój akces. Służył w oddziale Józefa Grekowicza (bitwa pod Szklarami 5 IV 1863) i Dionizego Czachowskiego. Następnie będąc w oddziale gen. A. Jeziorańskiego 1 i 6 V walczył w bitwach pod Kobylanką. W czasie drugiej bitwy (6 V) zasłużył się wyrwaniem sztandaru z rąk nieprzyjaciela (odnotował to J. Białynia) lecz ciężko ranny w nogę został wzięty do niewoli i osadzony w Cytadeli Warszawskiej. Pozostawał w tym więzieniu pół roku. Później przez rok był więziony we Lwowie. W końcu został uwolniony i wydany władzom austriackim jako ich poddany.

Skończył studia prawnicze i uzyskał stopień naukowy doktora praw. W 1870 r. ożenił się z ur. ok. 1850 r. Jadwigą Słotyli Bilińską. Mieli cztery córki. Jako doktor praw a następnie z zawodu adwokat brał czynny udział w życiu społeczno-narodowym. Był zdolnym obrońcą procesowym, m.in. wstąpił się w czasie słynnego procesu „Olgi Hrabar i towarzyszy” z 1882 r. Zmarł w 1892 r. (J. Białynia [w:] Pamiętnik... s. 289-90 podał daty przesunięte o jeden rok, tj. że ur. się w 1840 a zm. w 1893 r.).

Ludwik Łubiński od lat młodzieńczych zajmował się też twórczością literacką. Później jako dojrzały mężczyzna pisywał wiele tak poważniejszych, jak i drobnych, ulotnych utworów o charakterze patriotycznym. W 1863 r. podczas uwięzienia w murach Warszawskiej Cytadeli, mając 22 lata ułożył tekst piosenki „Ostatni mazur” (inny tytuł: „Jeszcze jeden mazur dzisiaj”).

Nuty melodii napisał lwowski muzyk Fabian Tymulski (1828-1885) - autor około 200 utworów (mazurków, polonezów, poplek, marszów, krakowiaków, kołomyjek), znany dzisiaj najbardziej jednak z tej jednej ww. pieśni - mazura. Jego utwory ludowe charakteryzowały się wysokimi wartościami artystycznymi, polotem, fantazją, stały się elementem repertuaru wielu orkiestr. Do sygnowania własnej twórczości wykorzystywał warianty nazwiska: Tymulski, Tymolski, Tymoliński.

Jak powinno się tańczyć mazura? Oczywiście - parami. Mawiają, że aby tańczyć go dobrze trzeba być „synem tej ziemi”. Ale to za mało, wbrew obiegowym opiniom to trudny taniec, i ten kontuszowy i ten ułański, i mazur dworski i ludowy; z akcentem na drugą i trzecią część taktu i rytmem z dwóch ósemek i z dwóch ćwierćnut, na przemian z grupą trzech ćwierćnut. Taniec ten łączy podobieństwo z oberkiem (w szybszym tempie) i kujawiakiem (powolnym), a więc: zamasyżycie i posuwiście a zarazem żywo i skocznie ale nie oberkowo, bez nadmiernych podskoków. Daleko, szeroko i rozłożycie, długim krokiem, z krótkim eleganckim

przypływem na końcu frazy. To taniec płynny, elegancki, a jednocześnie pełen fantazji, rozmachu i dynamiki. Tańczyć należy wesoło ale nie wesołowato, z dumnie podniesioną głową ale bez maniery i przerysowania, szlachetnie, chciałoby się wręcz powiedzieć - nobliwie. Spotkamy w nim kroki posuwiste i skoczne, przykłęki, wirowanie i szybkie przebieganie. Mazur ludowy powinien być szumny, z elementami przekomarzania się młodzieży, z przypływem, szerokimi obrotami, z furczeniem spódnic i hałek, no i z ostrymi hołupcami, całymi ich falami. Każdy mazur wymaga kreślenia figur i szyku wręcz „bojowego”. Całość w żywym a nawet ognistym charakterze. Prawda, że nie łatwe? Ale jak się to czyta, to chociaż prawdopodobnie nie by z tego naszego tańczenia nie wyszło, aż ma się chęć spróbować. Może obok patriotycznego, właśnie o to - o takie odczucie (chęć zatańczenia) chodziło autorom?

Tym mazurem zwykle kończono bale w dwudziestolecu międzywojennym. Był błędnie łączony z czasami powstania listopadowego i błędnie uważany za pieśń tamtego powstania (powstał 32 lata później), a nawet z czasami księcia Józefa Poniatowskiego. Melodię przypisywano też błędnie Fryderykowi Chopinowi. Przekaz miał głosić o rzekomym balu powstańczym przed bitwą o Olszynkę Grochowską, na którym ponoć tańczono „białego mazura”. Owszem, tekst mógł nawiązywać do wszelkich wcześniejszych ruchów patriotycznych, wszak ojciec autora walczył w powstaniu listopadowym i atmosfera domu w którym wzrastał młody Ludwik Ksawery z pewnością nie była wolna od patriotycznych uniesień. Być może pieśń powstała z myślą o pożegnaniu odchodzących do partyzantki powstańców, a może autor pokazuje swój ostatni wieczór i taniec przed opuszczeniem domu i zgłoszeniem się do powstania?

słowa: Ludwik Pomian-Łubiński

muzyka: Fabian Tymulski

Tempo mazura

Je - szcze jeden ma - zur dzi - siaj, choć pora - nek świ - ta.

Czy po - zwo - li pan - na Kry - sia mło - dy u - tan - py - ta.

nie - dłu - go bła - ga, pro - si, boć to w polskiej zie - mi,

w pierw - szą pa - rę ja u - no - si, a sto par za ni - mi,

w pierw - szą pa - rę ja u - no - si, a sto par za ni - mi.

Do tych patriotycznych wrażeń wyniesionych z domu... z pewnością doszły potem własne, te widziane z konia i okopów powstania styczniowego i te z ostatniej jego bitwy, w której tak dzielnie się spisał w maju 1863 r. w lesie za Lublińcem i Tepilami - pod Kobylanką. Nie wiemy kim była tajemnicza i zapewne piękna „Panna Krysia”, wszak w 7 lat później autor słów pojął za żonę - Jadwigę. Po „Pannie Krysię” co „królowała na turnusach nie od dzisiaj...” po latach sięgnął inny równie wspaniały autor tekstów - Wojciech Młynarski w swojej piosence „Jesteśmy na czasach”.

„Ostatni mazur” jest bardzo popularny także dziś i znajduje się w repertuarze wielu zespołów estrady wojskowej i ludowej. Jest odtwarzany przy okazji uroczystości o charakterze patriotycznym. I co by nie powiedzieć - nie ma Polaka, który by nie potrafił zanucić - zaśpiewać bodaj pierwszej zwrotki tego mazura, pieśni biorącej korzenie z patriotycznych doświadczeń i powstańczych marzeń autora tekstu - Ludwika Ksawerego h. Pomiana Łubińskiego - powstańca 1863 r. spod Kobylanki. Wspominając zaśpiewajmy obu autorom (słów i muzyki) w podzięce za udane dzieło: „Jeszcze jeden mazur dzisiaj...”

Adam Szajowski

Dwa baseny w Lubaczowie

Tadeusz Boy-Żeleński w swoich *Słówkach* umieścił fraszkę: *W tym największy jest ambasador żeby dwoje chciało naraz*. Mamy taki wypadek: jedno – to Samorząd Miasta Lubaczowa, drugie – to lubaczowskie Starostwo Powiatowe. Tylko tutaj raczej zachodzi podobieństwo do mickiewiczowskiego: *Golono strzyżono*, czyli każdy chce tego samego, ale w innym wykonaniu. Miasto widzi ten problem szeroko, ma wizję kompleksu sportowo- rekreacyjnego, który składałby się z basenu odkrytego, krytego i boisk do gier zespołowych i indywidualnych (korty tenisowe). Ma plan zagospodarowania przestrzennego, parcelę na to przeznaczoną. Pani burmistrz pokazywała kilka *półkowników* (dokumenty leżące na półce i czekające na lepsze czasy). W 2002 roku wykonane zostało *Studium Programowo- Przestrzenne* dla kompleksu rekreacyjno- sportowego, zaś w 2006 roku wykonano *Program kształtowania urbanistyczno-architektonicznego* dla tego terenu. Ogłoszono konkurs na wykonanie projektu techniczno- ekonomicznego. Zgłosiło się do niego 9 biur projektowych. W minionym roku miasto przeznaczyło na ten cel 20 tys. zł, a w roku bieżącym wyasygnuje na wykonanie projektu techniczno- kosztorysowego 200 tys. zł. Pani burmistrz Maria Magoń wyraża pewność, że znajdą się finanse na wykonanie. Jest przekonana, że uzyska 4 miliony złotych z zewnątrz. Uważa, że utworzenie Podstrefy Lubaczów w Strefie Ekonomicznej Mielec da wymierne efekty finansowe. Korzystając z zaproszeń wielu samorządów uczy się i podpatruje innych, przy okazji promuje Lubaczów. Wypatrzyła piękny basen w Brzozowie i podobny chciałaby zbudować w Lubaczowie. Jako uzasadnienie tej inwestycji podaje nie tylko dotychczasowy brak takiego obiektu ale uważa, że byłby to szczególnie element uatrakcyjnienia miasta dla turystów, którzy będą przejeżdżać przez Lubaczów jadąc na Ukrainę i z Ukrainy. Ważnym motywem przemawiającym za budową jest tak zwane bezpieczeństwo wakacyjne, dzieci i młodzież zamiast kąpać się w dzikich kąpieliskach miałyby zapewnioną ochronę na basenie.

W tej beczce miodu jest parę łyżek dziegciu. Nie wszyscy miejscy radni podchodzą do tego tematu z entuzjazmem. Jednocześnie nie widać lokalnych partnerów do współinwesto-

wania. Gmina Lubaczów będzie inwestować w zbiornik retencyjny w Borowej Górze. Horyniec, Cieszanów, Narol nie będą też zainteresowane, bo mają lub będą budować swoje bazy rekreacyjne. Miasto może liczyć tylko na siebie, chociaż istnieje teoretyczna możliwość pomocy ze strony Starostwa. Z informacji, którą uzyskałem od wicestarosty p. Krzysztofa Szpyta wynika, że nie istnieje nawet teoretyczna możliwość partycypacji.

Starostwo jest dużo bardziej zaawansowane w budowę w Lubaczowie, ale basenu krytego. Ma już pozwolenie na budowę czyli ma teren (przylega do zachodniej strony kompleksu budynków Zespołu Szkół im. J. Kuźnia), uzgodnienia i kompletny projekt. Aby pozwolenie nie straciło ważności Starostwo co roku coś na tej działce wykonuje. Wykonano już wspólnie z miastem drogę, a w tym roku przewidziana jest budowa kanalizacji. Nie można powiedzieć, że to są pieniądze zmarnowane, bo teren uzbrojony może się przydać. Kosztorys projektowy opiewa na kwotę 18 milionów. Pytanie podstawowe, na które chyba nikt nie potrafi dzisiaj odpowiedzieć: Kto, kiedy, od kogo uzyska potrzebne pieniądze na budowę odkrytego lub krytego basenu? Nie chcę oceniać trafności obu zamierzeń ani szans ich zrealizowania, ale z mojego punktu widzenia i siedzenia oraz pobieżnej znajomości finansowania infrastruktury sportowo- rekreacyjnej w przyszłych latach, to spełnienie marzeń kąpienia się w lubaczowskich basenach graniczyć będzie z cudem finansowym. Moja idolka - Ela Sorry, 20 stycznia br. w Faktach po Faktach powiedziała, że pieniądze z budżetu Unii na lata 2014- 2020 będą przeznaczane na przedsiębiorczość, gdyż poprzedni budżet przeznaczony w większości był na infrastrukturę. Może Miastu lub Starostwu uda się przekonać mądrą, autentyczną blondynkę, że baseny to przedsięwzięcie, które będzie dawało zatrudnienie i zyski. Z sympatii do Lubaczowa trzymam przysłowiowe kciuki.

Edward Dziadula

20 stycznia w Faktach po faktach budżet 2014-2020 Elżbieta Bienkowska powiedziała, że będą to pieniądze na przedsiębiorczość.

Samorządy pow. lubaczowskiego w kadencji 2010-2014

14 stycznia br. Edward Dziadula w imieniu Redakcji rozesłał do wszystkich samorządów pismo o następującej treści:

Cieszanów, 13 stycznia 2014 r.

Pan Starosta Lubaczowski *

Pani Burmistrz/ Wójt

Pani Burmistrz /Wójt

/wszyscy w powiecie lubaczowskim/

W tym roku kończy się kadencja władz samorządowych wybranych na lata 2010-2014. *Kresowiak Galicyjski* od miesiąca marca zamierza umieszczać na swych łamach dane obrazujące działalność finansowo- gospodarczą Starostwa i poszczególnych Gmin. Proszę więc przesłać do 20 lutego br. pisemną informację o następujących zagadnieniach:

Budżet planowany - wykonany, podać przyczyny różnic na + lub - (oprócz wykonania 2014 r.)

Dochody własne - rodzaje i wielkość /planowane -wykonane/

Wysokości wszystkich stawek podatków i opłat

Wysokość opłat za dostarczaną wodę i odbiór ścieków

Zadłużenie Gminy - ogólnie i na 1 mieszkacza, przeznaczenie kredytów i pożyczek, okres spłat

Ważniejsze inwestycje, wysokość dotacji rządowych i unijnych

Zatrudnienie w Urzędach oraz w jednostkach podległych samorządowi (proszę wykazać wzrost lub spadek zatrudnienia pracowników biurowych- uzasadnienie zatrudnienia

Stan bezrobocia

Ilość zatrudnionych w ramach prac interwencyjnych i robót publicznych i poniesione w związku z tym koszty

Informację proszę sporządzić oddzielnie na każdy rok kadencji i przelać na adres: Edward Dziadula 37-611 Cieszanów ul. Sienkiewicza 15

Redakcja

Folklor i gender (na wesoło czy na smutno - jak kto chce)

Piosenkę tę zamieszczam z dwóch powodów. Pierwszy - w bieżący roku mija 200 lat od urodzenia Oskara Kolberga wielkiego etnografa, kompozytora, a szczególnie zasłużonego folklorysty, zbieracza twórczości ludowej. Drugi, to niczym nie uzasadnione, aktualne(jakby odkryli coś nowego), ogromne zainteresowanie polityków, etyków, filozofów pojęciem **gender** (jedni mówią, że to nauka, drudzy, że ideologia). W tej piosence jest czystej krwi folklor i najprzedszy gender. Już od kilkudziesięciu lat śpiewał ją **Tadzio Pachlów** (tak wszyscy go nazywają mimo tego, że minęło mu już 90 lat) z Huty Różanieckiej: przeznacny, powszechnie szanowany, skromny, mądry stolarz. Piosenka jest o zwałaniu (nierobie, gnoju), który chciałby wykorzystywać nie tylko stroje kobiet.

Gdy miałem roczek jeden
Życie me było snem
Jeść miałem co do syta
Gardziłem wszystkim złem
W dzień powszedni czy w niedzielę
Mama kolebeczkę ściele
I do snu mi śpiewa swoje
Słodkie bajki, baj
Gdy miałem latek siedem
odziałem ojca frak
posłano mnie do szkoły,
a mama rzecze tak
Ucz się, ucz mój siedem
Bądź starowny mój chłopczku
Bo gdy urośniesz,
Będzie z Ciebie wielki pan
Niestety do nauki,
Chęci mi było brak
Platałem w szkole sztuki,
Aż wzięto mnie za frak
Gdy się mama dowiedziała
to do szewca mnie posłała
kując buty, pomyślałem sobie tak

Refren: **O Boże mój jedyny, daj mi to, co mają te dziewczyny
sukieneczki i fartuszki, piękną
twarz i zgrabne nóżki
i młodzieńczy urok w szare dni**

I tak bez żadnej zmiany
Płynęły szare dni
A że ze mnie pijak znany
Wylewam gorzkie łzy
Co dzień chodzę do roboty
Nie mam butów ni kapoty
A kołnierzyk przewracany
Razy sto

**O Boże mój jedyny, daj mi jakiej takiej
kobiecinę,
By uprała i jeść dała, a o robocie nie mówiła
nic, a nic.**

Edward Dziadula

Pamiętka wciąż pożyteczna

Towarzystwo Szkoły Ludowej było jedną z najpiękniejszych i najpożyteczniejszych polskich organizacji społecznych. Wyrosło z idei romantycznej – zbliżenia inteligencji do ludu – w duchu jednak pozytywistycznym: celem jego istnienia było krzewienie oświaty na wsi. I choć TSL nie istnieje od prawie trzech ćwierci stulecia, jego dorobek wciąż jest przydatny.

Za przykład można wziąć Bałaje, w których TSL zbudowało w latach 1925-1926 szkołę: fotografia, opatrzona datą lipiec 1932, przedstawiająca ją w pierwotnej formie, zachowała się w archiwum zdjęć działającego przed wojną w Krakowie koncernu prasowego „Ilustrowany Kurier Polski”, założonego i prowadzonego żelazną ręką przez Mariana Dąbrowskiego (mieleckiego rodaka, urodzonego równie 135 lat temu). Niewielki acz zgrabny budynek (zaprojektowany przez znanego lubaczowskiego architekta Władysława Ruebenbauera) z izbami lekcyjnymi na parterze, a mieszkaniem nauczycielskim na mansardowym strychu, uwiecznił fotoreporter „Ikaca” Franciszek Morawicki.



Szkoła okazała się pożyteczną inwestycją – jeszcze dziś, gdy już nie pełni przewidzianej funkcji, wciąż jest przydatna. Po przeprowadzeniu starannego remontu, sfinansowanego przez władze gminy Lubaczów, stała się przed rokiem siedzibą ośrodka edukacyjno-szkoleniowego Jednostki Strzeleckiej 2033 im. gen. Józefa Kustronia – organizacji społeczno-wychowawczej, nawiązującej do dorobku przedwojennego Strzelca, sukcesora idei Związku Strzeleckiego, założonego m.in. przez Józefa Piłsudskiego i późniejszych generałów Wojska Polskiego – Kazimierza Sosnkowskiego, Władysława Sikorskiego, Mariana Kukieła. Można rzec, że w ten sposób spłotyły się dwie znaczne tradycje – organizacji niepodległościowej i oświatowej.

TSL – warto wspomnieć – powołano w 1891 r. gwoili uczczenia 100. rocznicy uchwalenia Konstytucji 3. Maja. Pierwszym jego prezesem był poeta Adam Asnyk, godność prezesa honorowego piastował Ernest Tytus Bandrowski (nb. urodzony w roztoczańskiej Rawie Ruskiej w 1853 r.), profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek Akademii Umiejętności, poseł na Sejm Galicyjski, wiceprezydent Krakowa, filantrop, który oddał towarzystwu do spożytkowania czwartą część swego niemałego majątku. Przez 30 lat (1897-1927) TSL przewodził jako prezes Jacek Zieliński, wykształcony w Krakowie i Wiedniu profesor geografii oraz historii gimnazjów w Rzeszowie, Tarnopolu, a najdłużej w Jarosławiu, wybitny działacz niepodległościowy. Do wybuchu II wojny na czele organizacji stał Witold Ostrowski, przez rok komisarz zarządca Krakowa, następnie wiceprezydent miasta. Towarzystwo przestało istnieć w 1939, nigdy później nie zostało reaktywowane. Owoce jego działalności wciąż jednak – jak dowodzi przykład szkoły w Bałajach – służą dobru publicznemu.

Waldemar Bałda

Fot. Franciszek Morawicki

Nasza obecność w województwie

W realiach demokracji aby skutecznie zabiegać o sprawy powiatu nader ważną kwestią jest nasza obecność w sejmiku wojewódzkim. Przypominamy, że po reformie administracyjnej kraju i utworzeniu województwa podkarpackiego w sejmiku I kadencji zasiadało z powiatu lubaczowskiego aż czterech radnych. Byli nimi Edward Dziadula, Zbigniew Słotwiński, Andrzej Buczek i Zbigniew Ćwik. Miało to swoje przełożenie m.in. w skutecznym forsowaniu budowy szpitala w Lubaczowie. Niestety w kolejnych kadencjach aż do obecnej w sejmiku mamy tylko Mirosława Karapytę. Jego ranga i tym samym możliwości naszego powiatu wzrosły gdy w 2007 roku został wojewodą a w 2010 marszałkiem. Wówczas to władze miast i gmin mogli odetchnąć z ulgą. Po wielu latach posuchy powiat miał wreszcie mocną pozycję w województwie. Drzwi do marszałka dla władzy miast i gmin jak i starosty praktycznie były zawsze otwarte. Dodatkowym atutem był fakt, że marszałek był człowiekiem PSL a powiatem przecież rządził ludowcy. Jeden z samorządowców mówił. Z wizytą do marszałka w zasadzie nigdy się nie umawiałem. Dzwoniłem do sekretariatu z zapytaniem czy marszałek dzisiaj jest. Gdy odpowiedź była twierdząca wsiadałem w samochód i jechałem. Po przybyciu do Urzędu Marszałkowskiego kręciłem się po sekretariacie marszałka. Gdy drzwi się otwierały za wychodzącym od niego gościem i marszałek mnie zobaczył musiał mnie przyjąć, nie miał wyjścia. Tym bardziej że ja mu wiele czasu nie zajmowałem.

Niestety pełnienie przez Mirosława Karapytę funkcji marszałka nieco uśpiło aktywność samorządowców w powiecie. Dominowało myślenie w kategoriach po co nam budować pozycję w województwie jeśli jest tam na szczycie nasz człowiek. Dlatego też nastąpiło w powiecie swoiste trzęsienie ziemi gdy Mirosław Karapyta stracił stanowisko marszałka. Już pierwsze sygnały o jego zagrożonej pozycji przyjmowano z niedowierzaniem. Niestety Mirosław Karapyta przestał być marszałkiem i w ślad za tym ludowcy w województwie stracili władzę. Wprawdzie radnym sejmiku jest nadal Mirosław Karapyta ale jego pozycja jest bardzo osłabiona.

Aby wyjść z kryzysu należy odbudować naszą pozycję w samorządzie wojewódzkim. A droga do tego prowadzi poprzez posiadanie w sejmiku radnych. Ze względu na zaniedbania nie będzie to jednak zadanie łatwe. Póki co nie ma w obiegu publicznym nazwisk osób które miałyby realne szanse wygrać wybory. Oczywiście w odpowiednim czasie – słysząc od samorządowców takie osoby się pojawiają tuż przed wyborami. Jeśli tak się sta nie z dużą dozą prawdopodobieństwa można powiedzieć, że nikt z powiatu nie znajdzie się w sejmiku. Aby wygrać wybory to już powinniśmy popularyzować określone osoby i przekonywać do nich ludzi. W tym celu samorządy w naszym powiecie winne opracować jakąś wspólną strategię czyli wypromować kilka mających największe szanse osób. Kluczowa rola przypada tu PSL który rządzi w powiecie. Dlatego też czy radni z powiatu lubaczowskiego zasiadają w sejmiku dużo będzie zależeć od starosty Józefa Michalika... Dysponując autorytetem sprawowanej funkcji starosty jak też lidera mieniącej się największą partą w powiecie winien się czuć najbardziej współodpowiedzialnym za wykreowanie w powiecie człowieka który będzie w stanie wygrać wybory i już rozpocząć mu kampanię wyborczą. To równocześnie byłby test na zaangażowania starosty w sprawy powiatu.

Starosta nie jest jednak zainteresowany w promowaniu ludzi którzy byliby w stanie wygrać maraton wyborczy, jak też promocją jakiegokolwiek osoby a więc wyrastania u jego boku znaczącego lidera. Uważa, że palma pierwszeństwa się tylko jemu należy. Promując kogoś mógłby się obawiać, że a nuż ta osoba poczuje się mocno w cuglach i zamarzy się jej fucha starosty! Lepiej więc jeśli pole wokół starosty jest puste. Wówczas może być spokojny o swój urząd. Takie podejście jest jednak egoistyczne i godzi w interes gospodarczy powiatu. Powiat jest przecież zasobny w ludzi zdolnych, przedsiębiorczych, wykształconych potrafiących skutecznie zabiegać o interesy naszego powiatu w województwie..

Marek Wrzos

KRONIKA POLICYJNA

16 grudnia

W Lubaczowie Józef T. posiadał 1079 paczek papierosów bez znaków polskiej akcyzy.

20 grudnia

Na trasie Kowalówka – Doliny Marek G. z Dolin w stanie nietrzeźwym prowadził samochód VW Passat.

W Narolu nietrzeźwy Jacek W. z miejscowości Tymce kierował samochodem ciężarowym MAN.

W Uszkowcach nietrzeźwy Adam P. kierował samochodem Ford Mondeo.

22 grudnia

W Lubaczowie Rafał H. w stanie nietrzeźwym prowadził samochód VW Golf.

21 grudnia

W Lubaczowie Janusz W. z Zapalowa w stanie nietrzeźwym prowadził samochód Fiat Seicento.

24 grudnia

Do Horyńca motorowerem w stanie nietrzeźwym przybył Krzysztof L. z Bihali.

27 grudnia

Na trasie relacji Budomierz - Lubaczów, wprost pod koła forda galaxy wtargnął przebiegający przez jezdnię koń. Potężne zwierzę po uderzeniu w samochód wpadło do przydrożnego rowu. Koń poniósł śmierć. Fordem, oprócz kierowcy, podróżowała pasażerka siedząca z przodu auta. Kierowca i pasażerka nie doznali obrażeń.

29 grudnia

W Uszkowcach nietrzeźwy Grzegorz M. z Starego Dzikowa naruszył zakaz kierowania samochodem Opel.

2 stycznia

W Łukawcu Grzegorz G. z Krowicy Lasowej znieważał funkcjonariuszy policji.

4 stycznia

W Lubaczowie Iwona M. w stanie nietrzeźwym prowadziła samochód Volvo.

W Narolu Małgorzata S. w stanie nietrzeźwym kierowała samochodem VW Golf.

9 stycznia

W Krowicy Hołdowskiej Marek M. w stanie nietrzeźwym prowadził samochód Ford.

7 stycznia

Na trasie Dziewięcierz – Horyniec-Zdrój na motorowerze w stanie nietrzeźwym podróżował Leszek C.

12 stycznia

Na trasie Budomierz – Lubaczów, doszło do kolizji drogowej. 31-letni kierowca forda fiesty, zjechał z drogi, przejeżdżając najpierw przeciwnie pas ruchu i chodnik, samochód zatrzymał się w przydrożnym rowie. Na szczęście nikomu nie się nie stało. Obecny na miejscu kolizji, 31-letni mieszkaniec Lubaczowa, twierdził wstępnie, że był jedynie pasażerem pojazdu, lecz po wskazaniach świadków zdarzenia, przyznał się do kierowania fordem. Badanie na policyjnym alkomacie wyjaśniło dlaczego kierowca próbował kłamać. Urządzenie pokazało w jego organizmie prawie 3 promile alkoholu. Z policyjnych informacji wynika, że mężczyzna już wcześniej był karany za kierowanie samochodem będąc w stanie nietrzeźwości.

W Lubaczowie Wojciech P. z Borchowa w stanie nietrzeźwym prowadził sam. Honda a nietrzeźwy Marcin B. z Lubaczowa będąc po wódce podróżował samochodem Renault Laguna.

15 stycznia

W Budomierzu Bogdan T. z Ukrainy w stanie nietrzeźwym kierował samochodem.

16 stycznia

W Werchracie nietrzeźwy Michał J. kierował samochodem Suzuki Swift.

W Zalesiu nietrzeźwy Aleksander K. z Ukrainy kierował samochodem Renault.

24 styczeń

O godzinie 7 rano dyżurny lubaczowskiej Policji został telefonicznie powiadomiony przez mieszkańca Horyńca-Zdroju o znalezieniu zamrożonego ciała kobiety. Policjanci, pod nadzorem prokuratora rejonowego przeprowadzili oględziny miejsca zdarzenia, i zabezpieczyli ślady. Funkcjonariusze wyjaśniają również okoliczności w jakich znalazła się kobieta, bezpośrednio przed śmiercią. Ze wstępnych ustaleń wynika, że są to zwłoki 40-letniej mieszkanki Przemyśla, która przyjechała z wizytą do matki mieszkającej w Horyńcu-Zdroju. Najprawdopodobniej przyczyną zgonu kobiety było wychłodzenie organizmu, niemniej jednak zwłoki zostały zabezpieczone do dalszych badań, które pozwolą na dokładne ustalenie przyczyny śmierci kobiety.

Część spraw pozostaje w prowadzeniu. Ich przebieg oraz zakończenie może się różnić od opisywanych powyżej.

Poetka z Cieszanowa



Jesienią minionego roku ukazał się na rynku wydawniczym pierwszy tomik poezji Urszuli Kopeć – Zaborniak zatytułowany „Data ważności”. Poetka jest absolwentką Uniwersytetu Marii Curie Skłodowskiej w Lublinie na kierunku filologia polska. Po odbyciu studiów podyplomowych na kierunku bibliotekarstwo i informacja naukowa, od czterech lat jest dyrektorką Miejskiej Biblioteki Publicznej w Cieszanowie. Jej drugą pasją – poza bibliotekarstwem – jest pisanie wierszy. Czyni to już od lat nauki licealnej. – Zaczęłam pisać jak większość

do szuflady. Dziesięć lat temu zdecydowałam się wysłać swoje wiersze na ogłaszane konkursy poetyckie. Takim moim debiutem był 2005 r., kiedy to w Kędzierzynie Koźlu zajęłam III miejsce. Skoro znana pisarka i cenieni krytycy zasiadający w jury spośród nadesłanych na konkurs ok. 200 utworów nagrodziło mój, to znaczyło, że to co robię jest wartościowe. Uwierzyłam w siebie. W innych konkursach byłam też w czołówce, zdobywając nagrody lub wyróżnienia. Wyjazdy na te konkursy, uczestnictwo w spotkaniach autorskich dużo mi dały, poznałam różne typy poetyki, osoby piszące. Wpłynęły to na doskonalenie warsztatu literackiego – mówi Urszula Kopeć – Zaborniak.

Przyszł rok 2012. Dyrektorka cieszanowskiej biblioteki uzyskała stypendium im. Olgi Rok. Ta rosyjska bibliotekarka z Uzbekistanu, która osiedliła się w Polsce, przez 20 lat kierowała biblioteką dla dzieci i młodzieży w podwarszawskiej miejscowości. Zmarła w 2007 roku. Jej wnuczka Ania, obchodząca trzydzieste urodziny, doszła do wniosku, że najlepszym prezentem upamiętnienia działalności babci będzie utworzenie Funduszu Wieczystego im. Olgi Rok, z którego przyznawane będą stypendia dla bibliotekarek z małych miejscowości, które inwestują w swój rozwój osobowy. – Wypełniłam wniosek. Należało w nim napisać na co przeznaczą pieniądze. Napisałam, że chciałabym wydać swój tomik poezji. Marzenie się spełniło. Spośród 100 wniosków mój został nagrodzony. Dzięki temu stypendium i wsparciu stowarzyszenia Salonik Literacki z Warszawy ukazał się na przełomie września i października 2013 r. pierwszy mój tomik poetycki pt. „Data ważności”. W wyborze wierszy, ich ułożenia w książeczce pomogła mi krytyk z Warszawy Dorota Ryst. – wyjaśnia poetka Urszula Kopeć Zaborniak. Tak jej wiersze wyfrunęły z szuflady do ludzi. Ich autorka w dedykacji w tomiku napisała „Babci Aniëlce za Urszulkę”. – Byłam pupilką babci, a mamy taty. Dzieciństwo i lata szkolne na feriach, wakacjach spędzałam w jej domu – zwierza się poetka.

Po wydaniu pierwszego tomiku będą następne. Poetka pisze kolejne wiersze. Czyni to ze zdwojoną energią po ostatnio odbytym III Turnieju Jednego Wiersza im. Wandy Karczewskiej, który odbył się w Kaliszu, a którego organizatorem jest Stowarzyszenie Promocji Sztuki Łyżka Mleka. Urszula Kopeć Zaborniak czytała tam swoje nowe wiersze, zajęła w tym turnieju III miejsce.

Adam Łazar

KRESOWIAK GALICYJSKI

Adres redakcji: 37-611 Cieszanów, ul. Leśna 9, tel. kom. 661 631 213
Wydawca: Wydawnictwo Kresowiak, Rzeszów, ul. Zbyszewskiego 8/25,
tel. (017) 856 86 99

Redaktor naczelny: Marian Ważny

Zastępca redaktora naczelnego: Lidia Świder

Współpracują: Waldemar Balda, Wiesław Kołodziej, Adam Szajowski,
Zbigniew Wróbel, Jan Zuchowski, Adam Łazar, Henryk Wolańczyk
Edward Dziadula, Janina Szajowska, Ryszard Kaczka, Piotr Zaborniak,
Zofia Makuch

e-mail: kresowiakgalicyjski@wp.pl

Zamówienia na prenumeratę można składać bezpośrednio na stronie
www.prenumerata.ruch.com.pl

Druk: Drukarnia KOLOR-DRUK, 37-500 Jarosław,
ul. Podzamcze 28b, tel./fax: (016) 621 62 31, www.kolordruk.com.pl
e-mail: kolordruk@onet.pl

Wspomnienia z Sybiru

Był ranek 120 lutego 1940 r. spałam jeszcze, a gdy otworzyłam oczy, stał przede mną jeden z tych, którzy w październiku ubiegłego roku szli i szli naszymi polskimi drogami. Szary mundur, czapka nazywana szłomą i karabin przywieszony przez ramię. Żołnierz radziecki dał rozkaz ubierania się, bo zaraz wyjeżdżamy. Nie było to dla mnie zaskoczeniem, bo od czasu okupacji niemieckiej, potem rosyjskiej słyszałam przekazywane przez dorosłych wiadomości, że ten lub inny został aresztowany. Wydawało mi się, że nas nie ominie ten wyjazd. Miałam w pogotowiu spakowaną walizkę, a w niej najdroższe pamiątki – obrazki od ks. katechety, pamiętnik, niektóre zdjęcia. Teraz mój „opiekun” wszystko obejrzał i wyprowadził mnie do kuchni. Zobaczyłam ojca i dwóch braci siedzących na krzesłach, przy każdym żołnierz. Nie wolno im było poruszać się po mieszkaniu. Jedynie mama otrzymała rozkaz pakowania w określonym czasie – pół godziny. Widziałam jak ubierała dziewięcioletnią siostrę i chodziła z kuchni do pokoju, słyszałam kilkakrotnie powtarzane przez żołnierza słowa „tego nie bierz, tam wszystko będzie”.

Teraz nieruchomo stałyśmy w kuchni, a oni wyrzucali rzeczy z szafy na podłogę. Pomieszczone ubrania z książkami, stłuczona doniczka z kwiatkiem, jakieś rozbite naczynie, wylana woda, tworzyły przynębiający widok. Szukali broni – nie znaleźli. Ojciec upoważniony do jej noszenia dawno ją dobrze schował. Przed domem stały zaprzęgnięte w konie sanie. Rodzice i my – czwórka dzieci, z całym dobytkiem zamieszciliśmy się na tym powozie.

Dzień był bardzo mroźny. Jechaliśmy najpierw do gminy, a potem wieziono nas długo do stacji. Czekaliśmy na nas bydlęce wagony, brudne, cuchnące, zimne. Tu byli już ludzie tacy jak my. Ciasno i zimno, jesteśmy głodni, nie ciepłego do jedzenia. Dostaliśmy miejsce na zrobionych z desek „pryczach” pod samym dachem wagonu, przy małym okienku zabitym deskami. Zaglądając przez szparę informowaliśmy się w którą stronę jedziemy.

Potem była chwila przejazdu przez granicę. Ludzie płakali. Chwilę grozy przeżyłam na jednej ze stacji w Polsce. Do drzwi wagonu mocno zastukano, żołdat wykrzyknął nazwisko mojego ojca – ten odpowiedział – jestem. Serce mi zamarło! Ojca naszego zabiorą! Słyszałam otwieranie zaryglowanych drzwi, równocześnie wpadła do wagonu paczka. Przez moment, gdy drzwi były otwarte, zobaczyłam, że przy ścianie magazynu stacyjnego stali przyjaciele rodziców, moja koleżanka i dwóch braci. W jakiś sposób dowiedzieli się o drodze naszego przejazdu i tym gestem potwierdzili swoją prawdziwą przyjaźń.

Miesięczna podróż była bardzo męcząca. Rzadko otwierały się drzwi, kiedy by dawano nam ciepłą herbatę lub zupe. Nie było wątpliwości, że jedziemy na wschód, więc na Sybir. Dni bardzo się dłużyły. Rozmyślałam o wszystkim co zostało – domku w lesie, kotku i psie, każdym znajomym krzaczku, kwiatku. Pożegnałam ich na zawsze.

Skończyła się jazda pociągiem – zaczęła ciężarowym samochodem. Zima tu była ostra, śniegu dużo. Pierwszy nocleg u tamtej rodziny bardzo utkwiał mi w pamięci. Wprowadzono nas

do małej chatki. Buchnęło ciepło rozgrzanego blaszanego piecyka. Miłe uczucie. Rodzina rosyjska zebrana w jednym kącie izby ciekawie się nam przyglądała. Gdzie będziemy spać? – myślałam. Jedno łóżko nakryte samodziałową kapą, na niej dwie grube poduszki ubrane ręcznie zdobionymi koronkami. Na tym się znałam, bo takich robótek uczyły nas w szkole zakonnice.

Przed ułożeniem się do snu gospodyni te piękne poduszki i kapę odłożyła na stojący obok kufer. Zamiast prześcieradła zobaczyłam jakieś ciemne szmaty. Położyła na tym dzieci, ktoś ułożył się na dużym piecu chlebowym, który w tych stronach zajmował jedną trzecią powierzchni izby. Moją siostrę umieszczono na łóżku wraz z dziećmi gospodarzy. My wszyscy, nie rozbierając się, na podłodze, żołnierz z karabinem przy drzwiach.

Podróż do pierwszego miejsca zamieszkania – Tiurynki dla mnie była fatalna. Spaliny benzyny samochodu były tak silne, że przez całą drogę męczyły mnie torsje. Widziałam przerażone oczy mojej mamy, ale żadnego znikąd ratunku. Las i las. Z uwagi na zaśnieżone drogi samochód to się psuł, to mężczyźni z łopatami odwalali śnieg robiąc drogę pojazdowi. Na ostatnim postoju kierowca powiedział, że dalej nie ruszy. Była już głęboka noc – myślałam, że tu zamarzniemy.

Na szczęście do baraku, w którym mieliśmy zamieszkać było niedaleko i ojciec zaniósł mnie na rękach jako pierwszą. W środku naokoło ściany były zrobione z desek, gołe prycze. Policzyłam i było ich o wiele za dużo jak na naszą rodzinę. W tym pomieszczeniu zamieszkały razem trzy rodziny, obcy nieznani mi ludzie, trzynaście osób w tym małe, stałe płaczące dwu- trzyletnie dziecko. Zmęczona, słaba leżałam na pryczy i tej nocy przekonałam się, że będziemy tu mieszkać razem z pluskwami. Te zresztą towarzyszyły nam do końca naszych dni pobytu na Syberii.

Ciężkie czasy nastały dla mnie w tym zgiełku. Rozmowy, rozpacz dorosłych, płacz dziecka przynębiały. Zaczęło się tu nowe życie, którego nie byłam w stanie zaakceptować. Okazało się, że nie jesteśmy wolni, że mamy komendanta, który zaraz wyznaczył mężczyzn i kobiety do pracy w tajdze. Nie mogliśmy się oddalać od naszego baraku – nie stosujący się do poleceń byli karani karcerem. Po kilku tygodniach udręki nasz barak spłonął. Były robione porządki. Palono śmieci i nagle zerwał się bardzo silny wiatr. Ogień szybko strawił drewnianą budowlę. Barak stojący trochę niżej ocalał. Różne były domysły. Sabotaż? Ale nikt nie poniósł kary.

Kruty Klucz, dokąd nas zawieziono, była to duża wioska z domkami i sklepem. Baraki nasze stały nad jeziorem, z drugiej strony odcięte od wioski rzeką, przez którą przepływało się promem. Już sam wygląd zewnętrzny wskazywał lepsze warunki – tak też było. Dwa pokoje ze wspólną kuchnią zajęliśmy z zaprzyjaźnioną rodziną ze spalonego baraku. Dziękowałam bogu za ten silny wiatr! Pluskwy jednak nadal były z nami. Mama parzyła prycze, ale pomagało to na trochę. Potem znowu były.

Już na początku 1941 r. przywieziono nas na Zdrowe Ziarno. Była to mała wioska w środ-

ku lasu, jak inne małe osady liczące kilkanaście domków, w których mieszkali Rosjanie. W wielkim pośpiechu budowano dla nas domy na uboczu wioski. Sosnowe bale ociosane tylko z wewnętrznej strony kładziono jedna na drugą i przekładano mchem. Na zewnątrz sterczały kominy – znak, że jest piec i będzie ciepło. Tak nie było. Spaliliśmy bardzo dużo drzewa, ale dom nie dał się ogrzać. Cierpieliśmy w tym jednym pokoju głód i zimno przez wszystkie długie dni zimy.

Wojna z Niemcami i porozumienie gen. Sikorskiego ze Stalinem przyniosło odwilż. Mogliśmy na własną rękę wyjechać w dowolnym kierunku nie przekraczającym 100 km. Przy końcu 1942 r. osiedliliśmy się: Prom Artiel „Rekord” uczastok Małyj Kokuczej. Do swojej jednej izby przyjęła nas rosyjska kobieta z małym dzieckiem, a potem zaproponowała nam małątki domek nad brzegiem rzeki, z którego wyprowadziła się córka do swojej matki, kiedy mąż jej został posłany do wojska.

Moja pierwsza praca to korowanie ściętych drzew, które miały być wrzucane do rzeki, by tak płynąć do miejsca przeznaczenia. Piłowałam drzewa i układałam w stosy. Zmiałam śnieg z poukładanych desek przy tartaku. Robiłam beczi. Zbierałam żywicę i nacinałam drzewa dla jej ujścia. Pracowałam na polu.

Ani wojna z Niemcami, ani porozumienie gen. Sikorskiego nie wpłynęło na dyscyplinę pracy. Była ona obowiązkiem i wymagała olbrzymiego wysiłku. Bolały ręce, nogi, krzyż. Opuszczenie jednego dnia lub przyłapanie na bezczynności w lesie groziło trzymiesięcznym więzieniem. Żeby otrzymać „pajok” – określoną ilość chleba – trzeba było wykonać normę. Z tego powodu godziny pracy wydłużały się do ponad dziesięciu, dwunastu dziennie. Oprócz ciężkiej pracy dokuczał głód, ostre mrozy, brak ciepłej odzieży i w ogóle ubrania. Wszystkie możliwe nasze rzeczy mama zamieniła u tamtejszych gospodyń na ziemniaki i trochę mleka. Wspomnę, że zabrane przez nas zapasy żywnościowe skończyły się jeszcze w podróży. Głód zmuszał, by na polu wykopywać pozostawione przez zbieraczy ziemniaki, czasem zmarznęte po zimie i zbierać niezjedzone przez ptaki kłosa zboża.

Z uznanie wspominam ruskie kobiety, które dzieliły się kołaczem upieczonym z zapasów maki z dawnych lat lub zapraszały do stołu na kolację choć same były bardzo biedne. Teraz dokładnie rozumiem, co przeżywali nasi rodzice patrząc jak my – ich dzieci pracujemy ponad siły i w okropnych warunkach. W tej chwili nie wyobrażam sobie mojego życia, gdyby to samo musiały przeżywać moje dzieci. Nie jestem pewna czy nie załamałabym się, gdybym musiała patrzeć na niezawinioną krzywdę najdroższych osób. Mam 74 lata i wiem, że za sprawą Opatrzności Bożej wróciłam i żyję długo, choć praktycznie leczę się od powrotu do kraju. Zawsze liczyłam na pomoc Boską w każdej potrzebie i nie zawiodłam się. Najmniejszy oddech ludzkiej dobroci przysłał mi wszystkie wyrządzone krzywdy.

Ludwika Czerwińska (1925 – 2006)
z domu Rogoża (Jej rodzice pochodzą z Nowego Dikowa)